

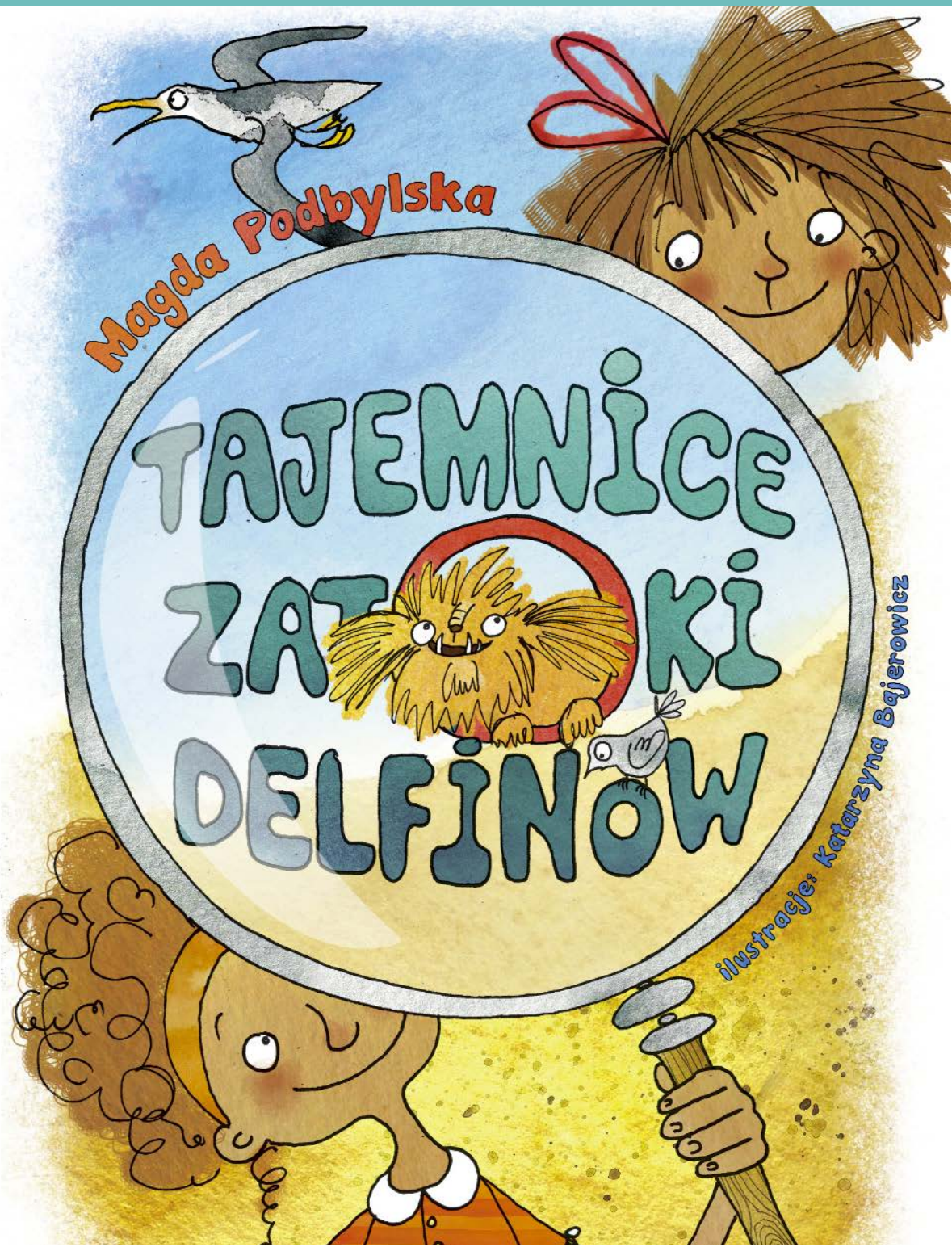
Opowiadanie z książki Magdy Podbylskiej  
**TAJEMNICE ZATOKI DELFINÓW**

Copyright © Magda Podbylska; Copyright © Wydawnictwo BIS 2013

Magda Podbylska

TAJEMNICE  
ZATOKI  
DELFINÓW

ilustracje: Katarzyna Bajerowicz



# Włamanie do sklepu z ceramiką



– Zatoka Delfinów jest cichym, spokojnym miejscem. Tylko podczas sztormu zamienia się w przerażającą otchłań. Wielkie fale zalewają wtedy całą plażę, a wiatr próbuje otworzyć drzwi i okiennice domków. Na szczęście sztorm skończył się wczoraj wieczorem, więc dziś leżymy na kocu na plaży. Ciocia Ellie czyta książkę, a moja kuzynka Jo i ja szukamy skarbów, które wyrzuciło wczoraj rozhulane morze.

Słońce świeci coraz mocniej. Jest gorąco i duszno.

– Idziemy do restauracji napić się mrożonej czekolady – decyduje kuzynka Jo i wkłada klapki. – No, idziesz?

Wstaję i szybkim krokiem ruszam za nią. Mrożona czekolada jest najlepsza na upały. Tak samo jak lody.

W restauracji zamawiamy ogromne porcje, wychodzimy na chodnik i siedząc na krawężniku, przyglądamy się zatoce.

Sprzedawca lodów otwiera sklep, a pani Hayley wraca ze spaceru ze swoim małym, kudłatym pieskiem.

Nagle drzwi sklepu z ceramiką otwierają się z hukiem i wybiega z nich przerażony właściciel:

– Ratunku! Pomocy! – krzyczy, biegnąc w kółko.  
– Przepiękstwo! Włamanie! Co za tragedia!

Pani Hayley staje, bierze na ręce swojego New Yorka i przygląda się zdenerwowanemu sprzedawcy ceramiki.

– Ależ sąsiedzie! Co się stało? – pyta, próbując go przekrzyczeć.

– Ktoś włamał się w nocy do mojego sklepu! Zniszczył cenne dzieła sztuki! Wazon! Naczynie! Wszystko potłuczone!

Kelner i kucharz z restauracji, razem z panem lodziarzem, podchodzą do właściciela sklepu z ceramiką.

– Niech się pan odsunie! Zobaczmy, co się stało! – mówi kelner i wchodzi do sklepu.

Moja kuzynka Jo i ja na palcach podchodzimy do drzwi sklepu i zza pleców kelnera zaglądamy do środka.

Na podłodze leży zbity wazon i kawałki dziwnego naczynia. Błat stołu zabrudzony jest rozlaną farbą.

– Panie artysto, nie jest tak źle! Straty nie są takie duże! – pociesza sprzedawcę ceramiki kucharz. – Czy coś zginęło?

Właściciel sklepu z ceramiką w pośpiechu liczy wszystkie dzbany, wazony i talerze.

– Na szczęście niczego nie skradziono – mówi po chwili. – Ale kto mógł to zrobić?

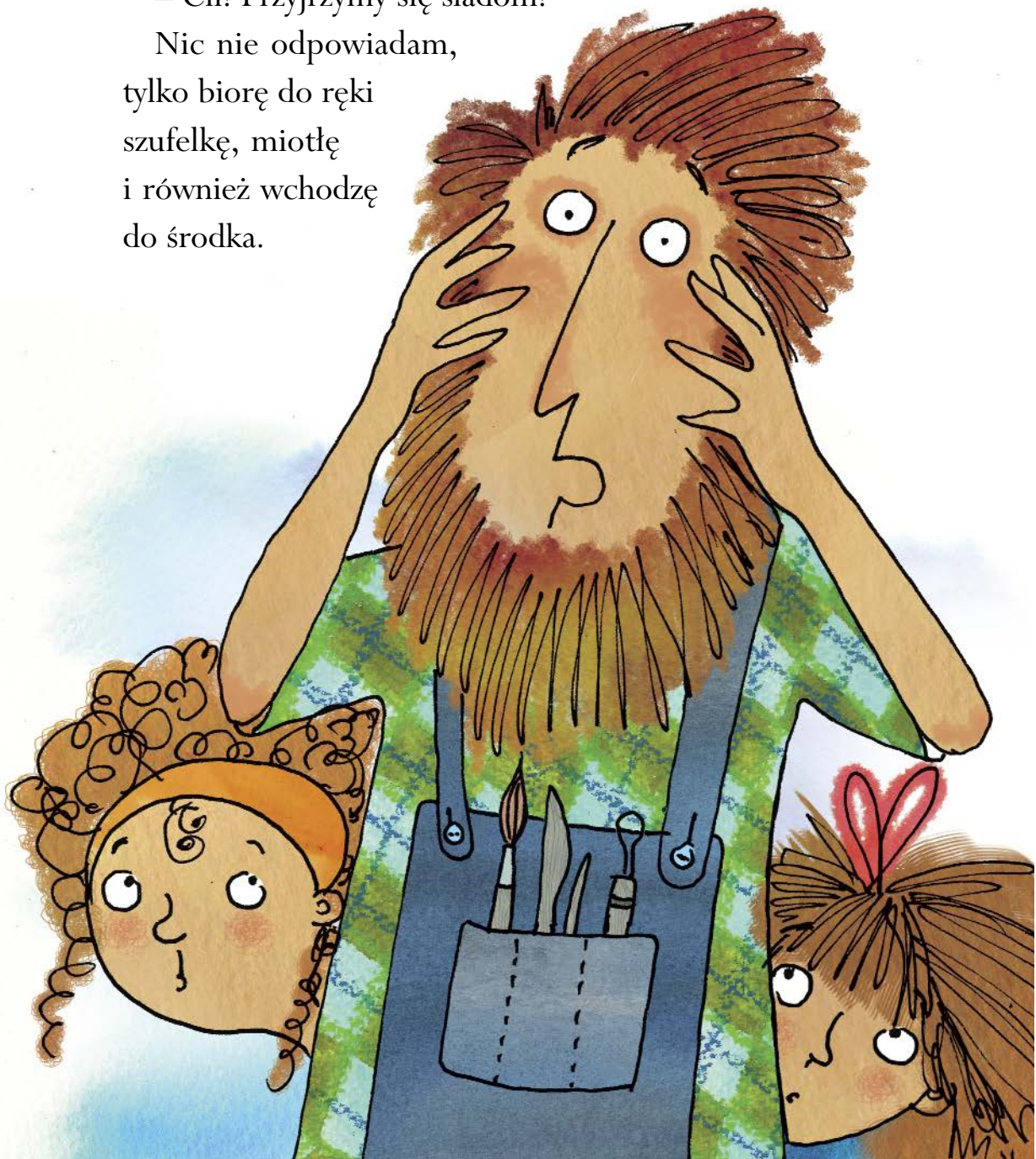
– Możemy pomóc w sprzątaniu? – pyta nagle moja kuzynka, szturcha mnie łokciem i wchodzi do sklepu.

– No coś ty! – szepczą do niej ze złością. – Ja nie chcę tego zmiatać!

Jo odsuwa mnie na bok, zasłania usta ręką i mówi prosto do mojego ucha:

– Cii! Przyjrzymy się śladom!

Nic nie odpowiadam,  
tylko biorę do ręki  
szufelkę, miotłę  
i również wchodzę  
do środka.



Rozbite naczynia leżą na podłodze, a na blacie zrobiła się wielka jak naleśnik plama z rozlanej farby. Obok niej widać odcisnięte ślady, jakby małe, okrągłe pieczętki.

– Co to za odciski? – zastanawia się Jo. – Szkoda, że nie mamy tu szkła powiększającego...

Przyglądamy się śladom w milczeniu. Nie ma wątpliwości: zostawił je włamywacz, który w nocy wszedł do sklepu.

– Dlaczego niczego nie skradziono? – mówię do kuzynki, zmiatając resztki ceramiki z podłogi. – Po co złodziej włamał się do środka?

Sprzedawca ceramiki wchodzi do sklepu i staje przy drzwiach. Przygląda się futrynie, naciska kilka razy klamkę i stuka palcem w ścianę obok włącznika światła.

– Chyba duch... – mówi i patrzy z przerażeniem w naszą stronę. – To musiał być duch! Wszedł do sklepu przez zamknięte drzwi! Bo przecież nie wślizgnął się przez malutkie okienko w dachu, a tylko ono było otwarte!

Moja kuzynka Jo przerywa sprzątanie i podchodzi do drzwi. Bierze z rąk sprzedawcy klucz i dokładnie go ogląda.

– Rzeczywiście. Zamek nie jest uszkodzony. Czyli złodziej musiał wejść tutaj, otwierając drzwi swoim kluczem. Albo...

– Albo co? – denerwuje się właściciel sklepu.

– Albo nic. Nie ma innej możliwości. Żaden człowiek nie przecisnąłby się przecież przez to malutkie okienko

w dachu! Kto oprócz pana ma klucz do sklepu? – pyta nagle Jo i odwraca się w moją stronę.

– Nikt! – szepcze przerażony mężczyzna.

Podchodzę do mojej kuzynki i szepczę jej do ucha:

– Musimy zrobić plan działania...

– Najlepiej zapiszmy wszystkie fakty – proponuje Jo.

Biorę do ręki ogromny kawał tektury, gruby czarny pi-sak i spisuję najważniejsze informacje:



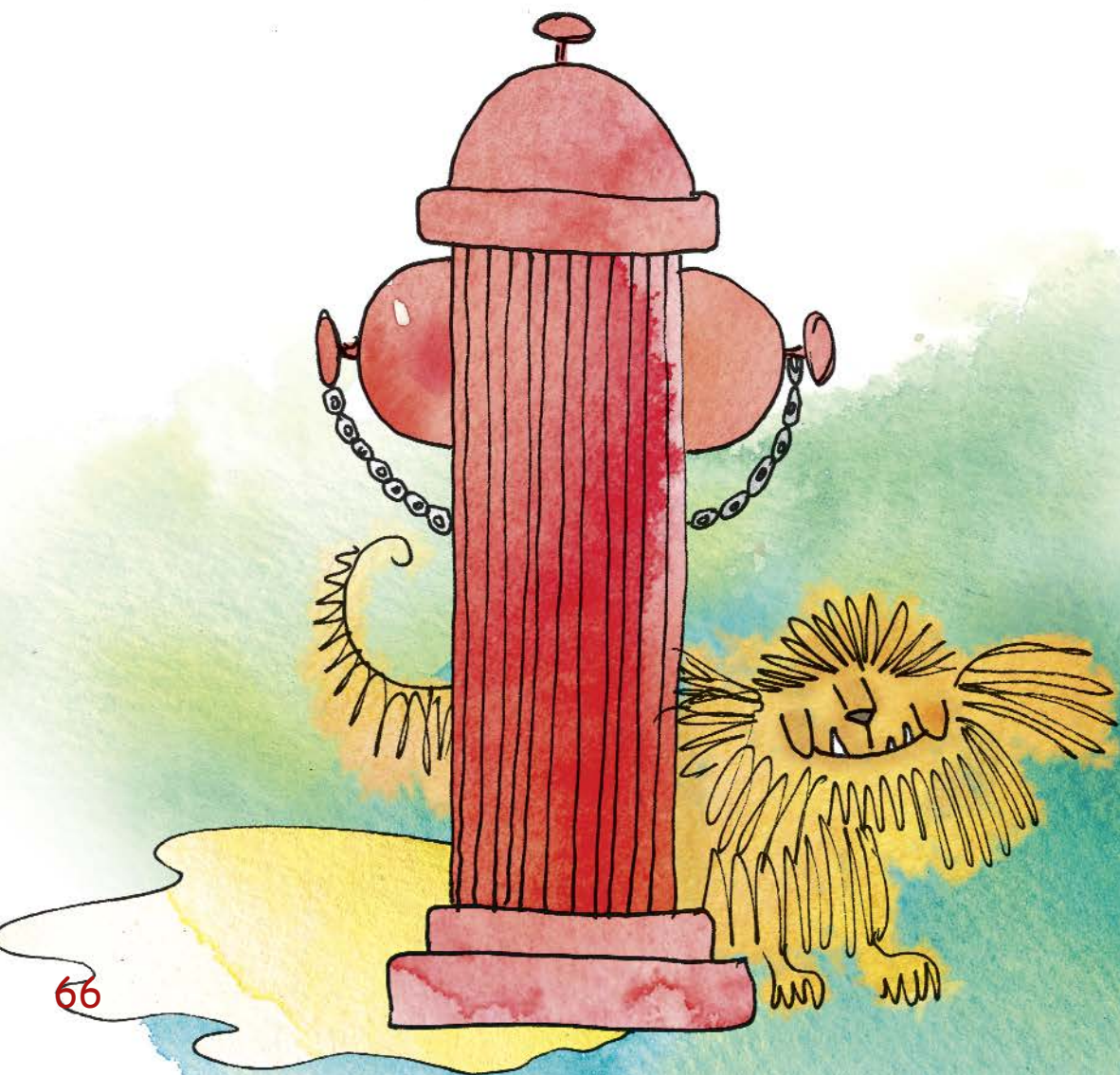
### CO JUŻ WIEMY:

1. W nocy ktoś zniszczył przedmioty w sklepie z ceramiką.
2. Niczego nie skradziono.
3. Drzwi i zamek nie są zniszczone.
4. Był sztorm.
5. Na blacie są małe, okrągłe ślady.
6. Tylko sprzedawca ma klucz.

– Tej zagadki nie da się rozwiązać bez użycia nowoczesnego sprzętu, całej grupy wyszkolonych policjantów, doświadczonych detektywów i psa! – ze łzami w oczach mówi pan sprzedawca, nerwowo chodząc po sklepie. – Co za straszna historia! Co za straszna historia! Co za straszna hi...

– Nie mamy nowoczesnego sprzętu, ale mamy notes i długopis – mówię nagle poważnym głosem. – Moja kuzynka jest lepsza niż cała grupa wyszkolonych policjantów, a ja mogę zastąpić doświadczonego detektywa. Co do psa...

– Zaraz będzie pies! – woła uradowana Jo i wybiega ze sklepu. Po chwili wraca, niosąc na rękach New Yorka, pieska pani Hayley. New York raczej nie przypomina typowego psa policyjnego. Jest malutki, jasny, kudłaty, lubi się



bawić i uwielbia być noszony na rękach. Ale przecież pan sprzedawca nie powiedział dokładnie, jaki pies jest potrzebny do rozwiązania tajemnicy.

Moja kuzynka stawia psa na podłodze i głosem poważnym i donośnym wydaje mu pierwsze polecenie:

– New York, szukaj śladów!

Pies patrzy na nas ze zdziwieniem. Odwraca się przodem do drzwi, głośno piszczy i szczeka dwa razy.

– Wyczuł trop! – cieszy się Jo, otwiera drzwi i wychodzi za psem na ulicę.

New York węszy uważnie wzdłuż krawężnika, kopie łapką mały dołek w ziemi i energicznie merda ogonkiem.

– Coś znalazł! – wołam i podchodzę do psa.

New York podnosi tylną nóżkę i zostawia obok krawężnika sporą kałużę...

– No tak! Zapomniałam, że najpierw każdy pies policyjny musi się wysiusiać – mówi ze śmiechem Jo, bierze psa na ręce i wnosi z powrotem do sklepu.

– Słuchaj New York – mówię do psa. – Tu nie ma żartów! Znajdź ślad włamywacza! Bardzo cię proszę!

Piesek merda ogonkiem, obchodzi koło garncarskie, wącha pod stołem, zagląda za szafkę, wreszcie staje przy ogromnej, wysokiej komodzie i patrzy w górę, piszcząc radośnie.

– Co jest na tej komodzie? – pytam, bo nawet stojąc na palcach, nie mogę zajrzeć na jej wierzch.



– Stara skrzynia z gazetami i papierek po czekoladzie – mówi zniechęcony sprzedawca ceramiki. Bierze papier po czekoladzie do ręki i wyrzuca go do śmieci.

New York stoi bez ruchu i piszczy coraz głośniej.

– Wasz pies nic nie pomógł. To jest zwykły żarłok, a nie psi detektyw – właściciel sklepu jest bliski płaczu. – Chciał tylko zjeść czekoladę!

Moja kuzynka Jo i ja patrzymy na siebie ze smutkiem.

– Dziwne, że pies nadal patrzy w to samo miejsce, chociaż tam już nie ma papierka po czekoladzie – zastanawiam się na głos.

Sprzedawca w zamyśleniu drapie się po głowie, przystawia do komody drewniany stołeczek, wchodzi na niego, zagląda do skrzyni z gazetami i robi dziwną minę.

A po chwili wyjmuję ze skrzyni ślicznego kotka.

– To jest ten włamywacz! – śmieje się sprzedawca i przytula do siebie kota. – Schronił się tu przed sztormem, wszedł przez okienko w dachu, a gdy próbował wyjść, porozbijał moje ceramiczne dzieła.

– I ma łapkę zabrudzoną farbą – zauważam, gdy rozradowany mężczyzna wtula twarz w mięciutkie futerko zwierzaka. – To jego ślady widzieliśmy na blacie.





– Mądry New York! Od razu odnalazł kryjówkę włamywacza. – Kuzynka Jo z dumą głaszcze małego pieska. – Jesteś najmądrzejszym psem policyjnym w całej Zatoce Delfinów!

– Oczywiście! – mówi sprzedawca ceramiki. – Dostanie ode mnie pyszną kielbasę na kolację. I zrobię dla niego piękną nową miseczkę.

– A co będzie z kotem? – pytam nieśmiało.

– Chyba nie mogę go zostawić bez opieki... – wzdycha mężczyzna. – Przecież sam sobie wybrał mój sklep jako bezpieczną kryjówkę... Najlepiej zabiorę go do domu. Tam będzie szczęśliwy!

Sprzedawca głaszcze kota po głowie i szepcze mu do ucha:

– Będziesz się nazywał Rozbójnik.

Wychodzimy ze sklepu i odprowadzamy New Yorka do domu pani Hayley. Wracamy na plażę i opowiadamy cioci Ellie naszą dzisiejszą przygodę.





Ciocia śmieje się, gdy słucha o niezwykłym talencie małego pieska.

– I ten pieszczoł, łakomczuch i śpioch odnalazł włamywacza? – nie może uwierzyć. – Jestem z was dumna, detektywki Treserki, że potrafiłyście tak wyszkolić zwykłego kanapowego pieska.

– On nie jest kanapowym pieskiem, ciociu! – mówi Jo.  
– On jest prawdziwym psem policyjnym. No, prawie prawdziwym...

Fragment z książki Tomasza Szweda  
**ZIMA W KLINICE MAŁYCH ZWIERZĄT** w Leśnej Górze

Copyright © Tomasz Szwed; Copyright © Wydawnictwo BIS 2013

ilustracje ANETA KRELLA-MOCH



## Rozdział 4

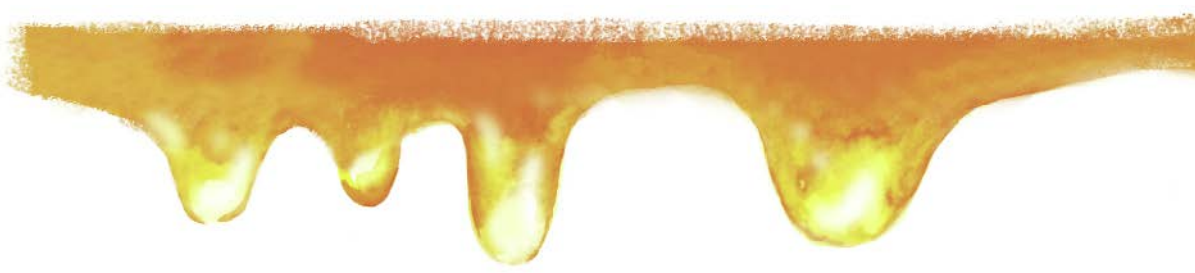


# Bajka o Miodowym Słonku

Jak pamiętacie, kiedy mały Susel był chory i leżał w Klinice, mama opowiadała mu bajkę o Miodowym Słonku. Susły uważają, że to prawdziwa historia o ich praprzodku.

Różnie o tym mówią Zwierzęta. Na przykład Niedźwiedzie z Zaborskiego Lasu też mają swoją opowieść.

Był piękny dzień późnej jesieni. Dwa Niedźwiadki, Większy i Mniejszy, szły sobie wzdłuż Dziegłowej Górki. Co jakiś czas zatrzymywały się, kiedy znalazły coś do jedzenia. Zima już na progu, więc trzeba się porządnie najeść przed snem.



Od leśniczówki za Górką przyplłynął do nich cudowny zapach miodu z pasieki. Nawet nie pomyślały, żeby tam zaglądać. Mama uprzedzała, że pan Leśniczy bardzo nie lubi, kiedy otwiera się ule i niszczy. Kawalek dalej, w Lesie, znalazły znakomite robaki pod korą starego buka, więc wyjadały je, pazurami oddzierając kolejne płyty kory. Buk był spróchniały, a ostatnia wichura nawet połamala kilka konarów.

Nagle coś kapnęło na głowę jednego z Misiów.

– Chyba będzie padać – zamruczał.

– Aha, chyba tak, czuję, jak pada mi na nos – powiedział drugi. – Zlizał kroplę i sapnął ze zdumienia.

– To jest słodkie, bardzo smaczne!

– Pokaż, daj spróbować. – Większy zaczął lizać Mniejszego. – Przecież to jest miód! – wykrzyknął.

– Z nieba?!

Niedźwiadki zadarły głowy i zmrużyły oczy, bo spomiędzy gałęzi przeświecało jaskrawe słońce.



Na niebie nie zobaczyły ani jednej chmurki, więc niemożliwe, żeby to był miodowy deszcz. Stały z wysuniętymi językami i cmo-kały. Z góry spadały krople miodu. Bardzo słodkie i lepkie, złote i pachnące! Wspaniale!

– No tak! – powiedział Większy. – To jasne! Słońce jest żółte, na pewno zrobione z plastrów miodu! Kiedy nadchodzi południe, miód kapie prosto na ziemię. Wystarczy tylko... ooo... wystawić język... mmm... jakie smaczne... – Większy mlaskał i łykał kolejne krople. – Miód i robaki, wspaniały dzień!

– Ale słońce nie zawsze jest żółte – zastanawiał się Mniejszy. – Czasem jest prawie białe albo czerwone, pomarańczowe...

– Oj, ty mały Misiu – lekceważąco prychnął Większy. – Zależy, z jakiego miodu jest zrobione, wtedy i kolor jest inny. Może być z akacjowego, gryczanego albo wrzosowego, na przykład.



– Aghaa... hjut holi – powiedział Mniejszy, bo właśnie próbował sięgnąć językiem do oka, w które spadła miodowa kropla.

– No właśnie – na to coś zgodził się Większy.  
– Trzeba wejść na drzewo, bliżej słońca, bo część miodu zatrzymuje się na liściach.

– Oj tak, oj tak. – Mały już się właśnie wspinał.

– Zaraz, ja pierwszy! – zawołał brat. Złapał Mniejszego za nogę i zaczął ściągać z drzewa. Po chwili obaj leżeli na ziemi i turlali się po stromym brzegu Jeziora, nad którym stał buk. Wpadli do wody, aż chlusnęło. Otrzepali się, rycząc na siebie.

– Dobrze – sapnął Większy. – Ja wchodzę po jednej stronie pnia, a ty po drugiej. Ścigamy się!

Skok na drzewo! Pryska kora spod pazurów!

Większy po chwili patrzył z wysoka, czy brat go nie dogania. Nagle zderzył się z czymś miękkim i poczuł, że coś zalewa mu oczy.

– Na pomoc! – ryknął. – Napadło mnie! Krew leci mi z głowy! Ratunku!

Po chwili obok niego  
był już Mniejszy.

– Nie wrzeszcz tak!  
Masz coś dużego żółtego  
na głowie. I żółte też  
po tobie płynie! I to  
jest... – polizał ucho brata  
– to jest miód! Hurra!  
Wpadłeś w kawałek  
słońca przychepionego  
do tej grubej gałęzi.  
Ono jest całe z miodu,  
rzeczywiście!

– Eee... specjalnie  
tak zrobiłem, żeby  
ci pokazać, że nie  
trzeba się bać  
słońca. – Większy  
zjął z głowy plaster  
miodu. – Masz, pojedz



sobie i nie mów później mamie, że się tobą nie opiekuję.

– Tak? – zachichotał Mniejszy. – Masz głowę i grzbiet w miodzie. Mama przed snem będzie cię całego wylizywać jak jakiegoś malutkiego Misia.

– Cicho siedź i jedz – warknął Większy – bo nic ci nie dam, kiedy jesteś taki wredny!

Wkrótce okazało się, że plastrów jest dużo. Leżały w rozdartej dziupli złamanego konara. Niedźwiadki jadły, mlaskały i stękały z lubością.

W Lesie powoli milkły Ptaki, przycichał wiatr, a słońce zmierzało ku zachodowi. Misie zjadły wszystko. Wylizały dziuplę, konar, a nawet pień. Objedzone do mdłości, niezdarnie zaczęły złazić z drzewa.

– Uff, trochę mi niedobrze – powiedział Większy, gdy już znaleźli się pod drzewem.

– Nooo, pod koniec ten miód wcale nie był taki smaczny – zapiszczał Mniejszy w ataku czkawki. – Ciemno się robi, wracajmy do domu, słońca już nie ma... Ojejku! Nie ma słońca... bo myśmy je całe zjedli! – wrzasnął przerażony. – To przez ciebie, bo nie

chciałeś zostawiać niczego na później! Co teraz będzie, co teraz będzie?! – piszczał Mniejszy.

– A więc mówicie, że zjedliście słońce?

Niedźwiadki stały przed mamą ze spuszczoneymi głowami.

– I to dlatego cali jesteście w miodzie, do którego przykleiły się liście, mech, patyczki i błoto? To znaczy, że słońce jest z drewna i trawy?

– Nie, mamó – pociągnął nosem Większy. – Z miodu. To wszystko przeze mnie, bo uderzyłem w słońce głową, a później je... zjedliśmy.

– Hm – zamruczała mama. – Z tego, co wiem, słońce jest rozżarzoną kulą, która ogrzewa wszystkie Zwierzęta na świecie. Chociaż może coś się zmieniło, odkąd Większy uderzył w nie głową?

– Tak było, mamó – zaszlochał Mniejszy. – Ale on wcale nie chciał... Było takie jasne, a później leżało w kawałkach na gałęzi. I ja też je jadłem. A teraz mnie boli brzuch, buuu...

– No cóż – powiedziała mama. – Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze. Teraz idźcie się umyć do Jeziora. Jeden drugiego. Później do łóżek, bo na kolację chyba nie macie ochoty?

Następnego dnia rano, gdy tylko Niedźwiadki otworzyły oczy, zobaczyły, że na niebie wschodzi piękne, żółte i jasne słońce.



– Mamo, mamo, jest! Jest słońce! Popatrz! Jak to się stało? – Niedźwiadki podskakiwały i piszczały.

– Jest taka bajka, którą wszystkie mamy opowiadają swoim dzieciom. – Niedźwiedzica uśmiechnęła się. – Pewnego dnia nasz prapradziadek, kiedy jeszcze był małym Misiem, szedł wzdłuż Jeziora i szukał czegoś do jedzenia. Popatrzył na żółte słońce nad Lasem i pomyślał, że słońce jest zrobione z miodu. Wszedł na najwyższe drzewo, sięgnął łapą, chwycił je i zjadł. W nocy Niedźwiadka bolał brzuch, a nad ranem zaczął wymiotować. Dlatego słońce mogło znowu pojawić się na niebie. Od tego czasu tak dzieje się codziennie. Słońce chowa się przed nocą, by rano znów pojawić się wysoko.

– To o mnie ta bajka, mamo? – ze zdumieniem spytał Mniejszy.

– Tak, o tobie i o innych małych Misiach – powiedziała mama, szturchając go nosem, co u Niedźwiedzi oznacza najmiłą pieszczotę.

Fragment z książki Tomasza Szweda  
**KLINIKA MAŁYCH ZWIERZĄT w Leśnej Górcie**

Copyright © Tomasz Szwed 2010; Copyright © Wydawnictwo BIS 2010

ilustracje ANETA KRELLA-MOCH



## **Rozdział 2**

# **Katastrofa w gabinecie zabiegowym**

– Proszę zaszyć ranę, panie doktorze – powiedział profesor Borsuk, ordynator kliniki, do stażysty. Ten młody lekarz asystował dziś po raz pierwszy przy zabiegu składania złamanego skrzydła.

– No i po wszystkim, panie Wrona. – Profesor mrugnął porozumiewawczo do zatroskanego i bardziej szarego niż zazwyczaj tatusia małego Wroniątko. Malec nieprzytomnie przymykał oczy, budząc się po znieczuleniu.

– Na drugi raz niech pan powie synkowi, że nie można się huścić na sercu dzwonu, kiedy zaczyna się kołysać. Wiadomo, że w którymś momencie uderzy się w twardy metal. Tak, synku? – Pogłaskał po łebku



małego Ptaka, który z przerażeniem patrzył na skrzydło zranione w czasie zabawy.

– Więc jaki przypadek tutaj mieliśmy, doktorze? – zwrócił się profesor do stażysty nerwowo przebierającego łąpkami.

– Otwarte złamanie kości promieniowej skrzydła lewego – padła szybka odpowiedź.

Wzrok stażysty w napięciu spoczął na pyszczku profesora, posiwiałym od wieloletniej pracy w Leśnej Służbie Zdrowia.

– Tak jest, panie kolego, teraz proszę jeszcze usztywnić kończynę i niech pan tutaj trochę ogarnie, bo narobiliśmy bałaganu. Tak, tak, dzwonnice na pewno są przytulne, ale kiedy zaczynają bić dzwony, wyfruwaj stamtąd z całą rodziną. To nie pora na zabawy w chowanego, tak, synku? A jak masz na imię, mały?





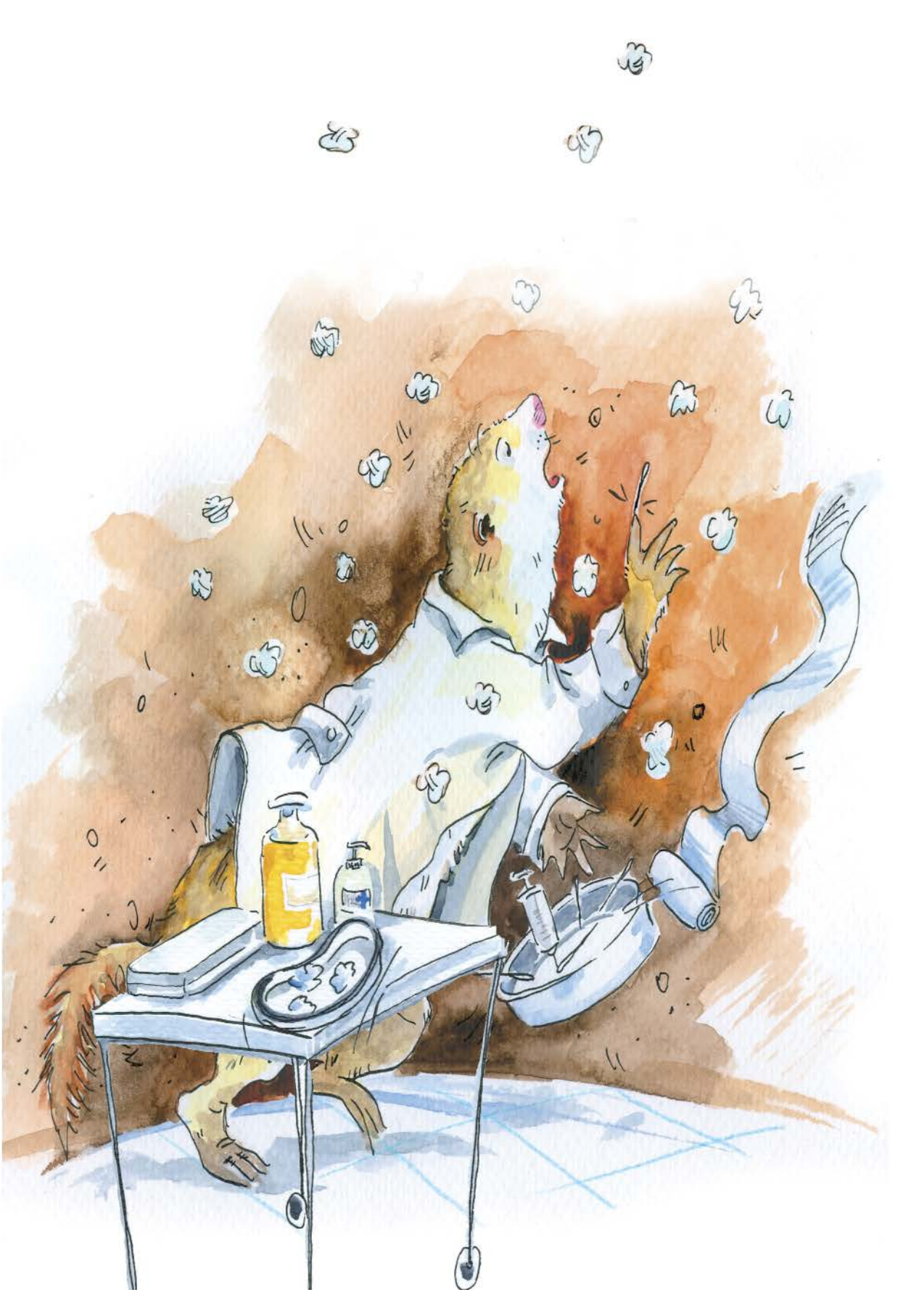
– Wroniątko – zapiszczało skrzekliwie Wroniątko, walcząc z trochę jeszcze bezwładnym językiem.

– Powiniennem był się domyślić – zamruczał do siebie profesor Borsuk, nadmuchując ściągniętą z łapy gumową rękawiczkę i wręczając ją małemu pacjentowi.

– Auuu!!!! – pisnął nagle i wyskoczył w górę doktor Suseł.

Pracujący na licznych dyżurach, uczący się po nocach, wiecznie zmęczony, właśnie zasnął na siedząco, kiedy jego jedna łapka niosła igłę do pudełka, a druga akurat to pudełko trzymała. Igła wbiła się w palec.

I tu nastąpiła katastrofa. Doktor Suseł upuścił pudełko na słój z gazikami i wacikami. Słój gruchnął na białe kafelki i roztrzaskał się w drobne kawałki, a waciki jak małe kulki śniegu wzbiły się wysoko i miękko opadły na posadzkę. Przestraszony Suseł podskoczył i tylną łapą kopnął w szklaną półkę z równiutko ułożonymi narzędziami do zabiegów. Narzędzia przez chwilę leciały w powietrzu, ciągle jeszcze równo ułożone. Teraz i one uderzyły w podłogę, a niektóre z nich odbijały się jeszcze od posadzki, przeraźliwie dźwięcząc. W ciszy,



jaka później zapadła, słycać było tylko mruzenie sprężarki w gabinecie dentystycznym.

Doktor Suseł zamarł z zaciśniętymi powiekami, z bolącym palcem w pyszczku i zawisłą w powietrzu



tylną łapą. Profesor Borsuk stał z otwartym ze zdumienia pyszczkiem, a pan Wrona, też z otwartym dziobem, zasłaniał skrzydłem leżącego na kozetce synka, który wyglądał zza piór ojca ogromnymi oczami. Pan Suseł wolniutko opuścił łapę na podłogę.

– Tak, no cóż... – powiedział profesor Borsuk.

Podniósł z podłogi jeden wacik, przyjrzał mu się z uwagą i delikatnie położył na biurko. Otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła pani Łasiczka, doktor pediatra, ulubienica wszystkich maluchów z Lasu, Łąki i Pola.

– Co tu się dzieje?! – wyszeptała, rozglądając się wkoło.

– Ukląłem się w palec... – płaczliwie zaskamlał Suseł, wyciągając do niej łapkę. – Już teraz wiem, że to boli, kiedy się robi zastrzyk, a ja zawsze mówiłem dzieciom, że to nie boli, że to tak, jakby Muszka ugryzła – prawie szlochając, zalił się doktor Suseł.

– No, chociaż tyle dobrego, że teraz będzie pan pamiętał – prychnęła pani Łasiczka. – Trzeba uprzedzić dzieci, że to trochę boli, ale że krótko, więc niech



pan nie przesadza. Dzieci po prostu nie lubią, kiedy się je oszukuje. No, a jak tam nasz mały pacjent? – Uśmiechając się, popatrzyła na Wroniątko. – Przestraszyłeś się, malutki?

Wroniątko miało ciągle szeroko otwarte oczy i wciąż rozdziawiony dziobek. Popatrzyło na doktor Łasiczkę, na doktora Susła, na tatę i wrzasnęło wysokim, przenikliwym głosem:

– Ja chcę jeszcze raz! Tata, niech on to zrobi! Ja chcę jeszcze duże bumm!



Fragment z książki Iwony Buczkowskiej  
O DOBOSZU drewnianym ludku, który mieszkał w ogródku

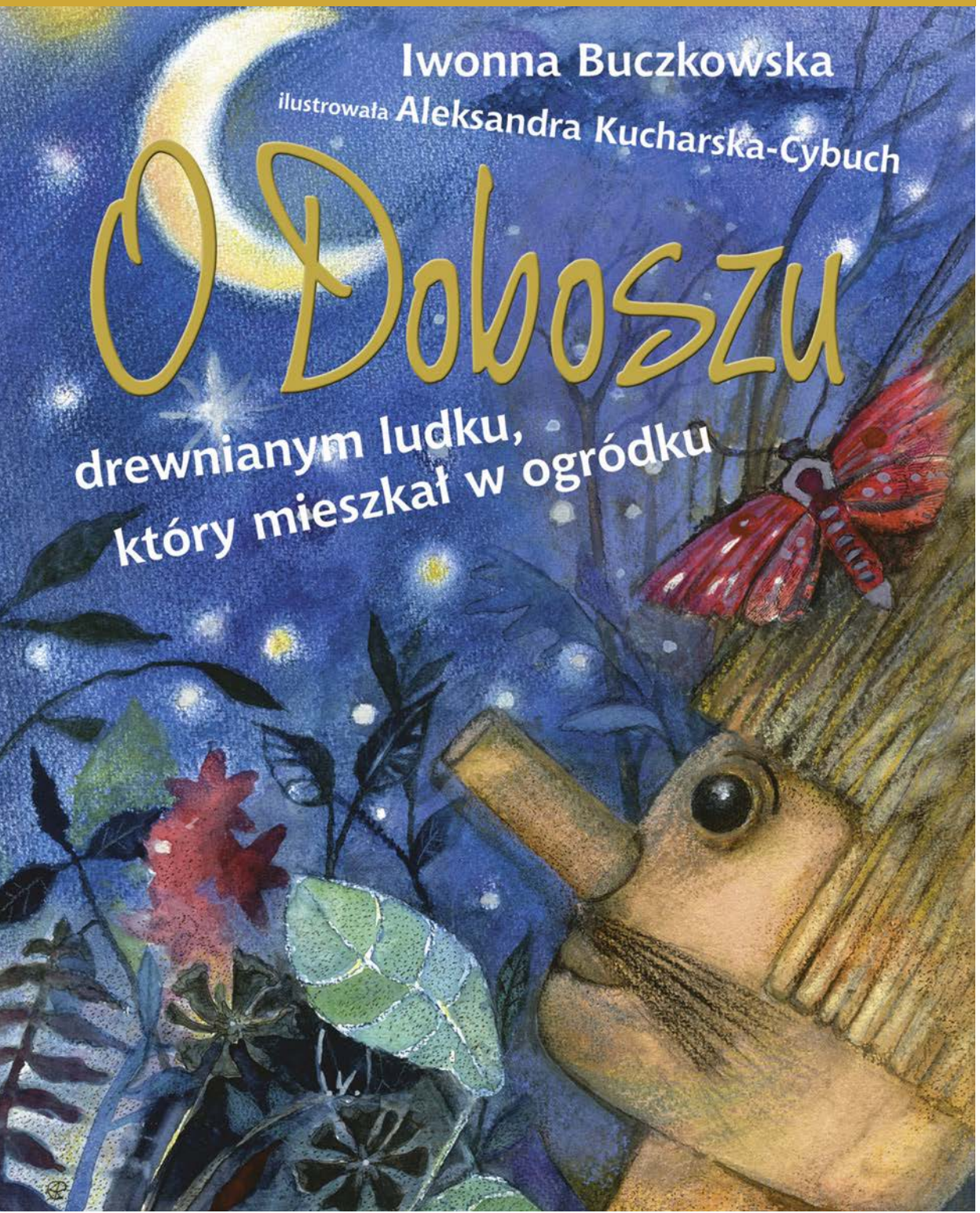
Copyright © Iwonna Buczkowska; Copyright © Wydawnictwo BIS 2012

Iwonna Buczkowska

ilustrowała Aleksandra Kucharska-Cybuch

# O Doboszu

drewnianym ludku,  
który mieszkał w ogródku





# 4



**A**ż nadszedł dzień, gdy wrzawa ucichła. Po południu Pola zajrzała jeszcze raz do Dobosza, by sprawdzić, czy wszystko jest jak należy, a wieczorem myszki zjawiły się w komplecie. Każda przyniosła małe zawiniątko. Mama Mysz usadowiła się w swoim klapku, a dzieci zasiadły równym półkolem po obu jej stronach i wszyscy w ciszy patrzyli w małe, zakratowane okienko. Zrobiło się cicho i świątecznie. Śnieg skrzył się na grubych igłach jodły, a pomiędzy jej chybotającymi na wietrze gałązkami niczym klejnoty mieniły się grube, oszronione szyszki.

I oto na granatowym niebie ukazała się wielka, srebrna gwiazda! Jej blask niósł się hen po świecie; odbijał się wysoko w górskich potokach i głęboko w ogromnych morzach, w dzwonach na wieżach kościołów, w blaszanych dachach domów, aż na koniec zablyszczwał w małych, wpatrzonych



w okienko komórki oczkach i na zadartych mysich noskach. I nie wiadomo, czy tak było naprawdę, czy może wszystkim tak się tylko wydawało, ale w komórcie zrobiło się jasno i ciepło...

Dobosz nigdy wcześniej nie przeżywał tak niezwykłej chwili!

Myszki sięgnęły do swoich paczuszek, a były w nich przeróżne nasionka, suszone jagody i inne, zaoszczędzone specjalnie na ten dzień, przysmaki. Teraz wszystkie obdarowywały się nimi. Częstowały też Dobosza, ale ten, widząc, jak niewielkie są to porcje – i w dodatku nie będąc głodnym – to, co dostał od jednej myszki, ofiarowywał zaraz innej.

Powiał wiatr i zwisające z dachu, sięgające aż do połowy okienek lodowe sople zadźwięczały śpiewnie. Myszki zapiszczały do wtóru. Dobosz uniósł pałeczki i zaczął wybijać rytm najpiękniej, jak tylko umiał. Grał i przypomniało mu się lato i Pan Nono, i przyjaźń z Mamą Myszą, i wszystkie dobre dni, które przeżył... Nigdy wcześniej nie był tak szczęśliwy! Czuł, że oto on, niby zwykły ogródkowy Dobosz, za chwilę da koncert wspanialszy niż chór ptaków o letnim brzasku. Podniósł obie ręce tak wysoko, jak tylko potrafił, zamachnął się...

I oto, niespodzianie jedna z pałeczek wysmyknęła mu się z ręki i poleciała daleko, daleko! Odbiła się od podłogi, stuknęła w wiadro, aż żałośnie zajęczało, zrobiła salto i wpadła za stojącą pod ścianą czerwoną balię. Ta zadzwoniła, zachwiała się, lecz nim Dobosz i cała reszta zdążyli zorientować się w tym wszystkim, co się stało, nastąpiło coś jeszcze dziwniejszego – zza balii rozległ się stłumiony okrzyk:

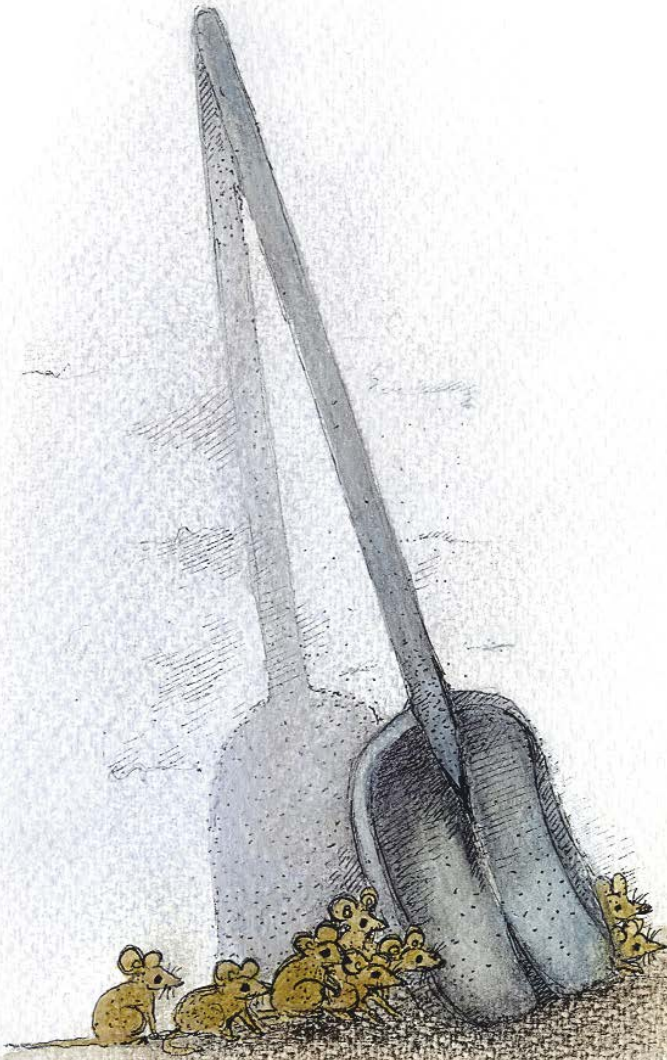
– Auuu!!!

W komórce zaległa cisza... Ktoś był za balią! Tylko kto? Poza tym, jeśli był, to musiał tam być przez cały czas! Bo przecież, odkąd Pan Nono zamknął za sobą drzwi, z całą pewnością nikt do komórki nie wchodził ani też z niej nie wychodził!

Przerażone myszki stłoczyły się za stojącą pod oknem łopatą, a nie mniej wystraszona Mama próbowała je uspokoić. Nieszczęśliwy Dobosz patrzył to na pałeczkę, która została mu w jednej ręce, to na brak pałeczki w drugiej ręce, to znów na stojącą nieruchomo, jak gdyby nigdy nic, balię. I nagle zdesperowany zawołał:

– Kto tam jest?!

Ale nikt się nie odezwał. Biedna Pola najchętniej schowałaaby się w najodleglejszym, najciemniejszym kątku. Ujrzała jednak strach w oczkach dzieci i usłyszała rozpacz w głosie Dobosza, zorientowała się więc, że nikt inny, tylko właśnie



ona musi rozwikłać tę zagadkę. Nie wychylając się zatem ani odrobinę zza łopaty, tonem rozkazującym (choć trzęsła się jak galaretką) powiedziała:

– Kto tam jest... niech się zaraz odezwie!

– I niech mi odda moją pałeczkę! – dodał ośmielony Dobosz.

I wtedy zza balii odezwał się gruby, metaliczny głos:

– Jeśli ten patyk, który mnie przed chwilą uderzył, to jest czyjaś pałeczka... to proszę bardzo, można to sobie zabrać! Leży na podłodze! Ja, niestety, nie mogę pomóc.

Zaległa cisza. Sprawa nie była prosta. Pola wychyliła się nieco, oceniła sytuację i w jednym momencie znalazła się u nóg Dobosza. Po czym bezszelestnie hyc, hyc – z grzybka na grzybek – znalazła się tuż przy jego uchu.

– Co teraz zrobimy? – spytała cichutko.

– Teraz... teraz... – zastanawiał się głośno Dobosz.

– Ciii... – pisnęła mysz i ściszyła głos. – Jeśli Ten Ktoś mieszkał cały czas z nami w komórce – wyszeptała – i do tej pory niczego nie zbroił, to może nie jest niebezpieczny?

– No właśnie! – ucieszył się Dobosz.

– Ciii... – w głosie Poli wyczuwało się wahanie. – Ale jeśli tak, to czemu dotąd się ukrywał? Może ma coś na sumieniu?

– No właśnie... – zasępił się ludek.

Oboje wiedzieli, że nie będą w stanie żyć spokojnie z tą niewiedzą i że nie ma innego wyjścia, jak tylko pójść i zobaczyć, kto i dlaczego jest za balią.

– Trzeba iść na zwiady – powiedziała zdecydowanie Mama Mysz.

– Tak! Trzeba iść na zwiady – powtórzył równie zdecydowanie Dobosz, nie bardzo wszakże wiedząc, jak się na zwiady chodzi, bo przecież nigdy wcześniej nie miał potrzeby niczego takiego robić.

– Nie ma innego wyjścia – skwitowała Pola.

Dobosz, znając jej mądrość i doświadczenie, zgadzał się z nią całkowicie. Ciągłe nie było jednak wiadomo, kto ma na te zwiady iść. I choć ludek pragnął jak najszybciej odzyskać swoją pałeczkę, rozsądek powstrzymywał go od zrobienia pochopnie czegoś, o czym nie miał zielonego pojęcia.

– No to trzeba iść... – powtórzyła Pola i nim zdążył kolejny raz przytaknąć, już była na dole i z daleka, przez szparę między balią a ścianą, oceniała sytuację. Chwilę później znów szeptała Doboszowi do ucha:

– Musimy poczekać do rana, aż się rozwidni.

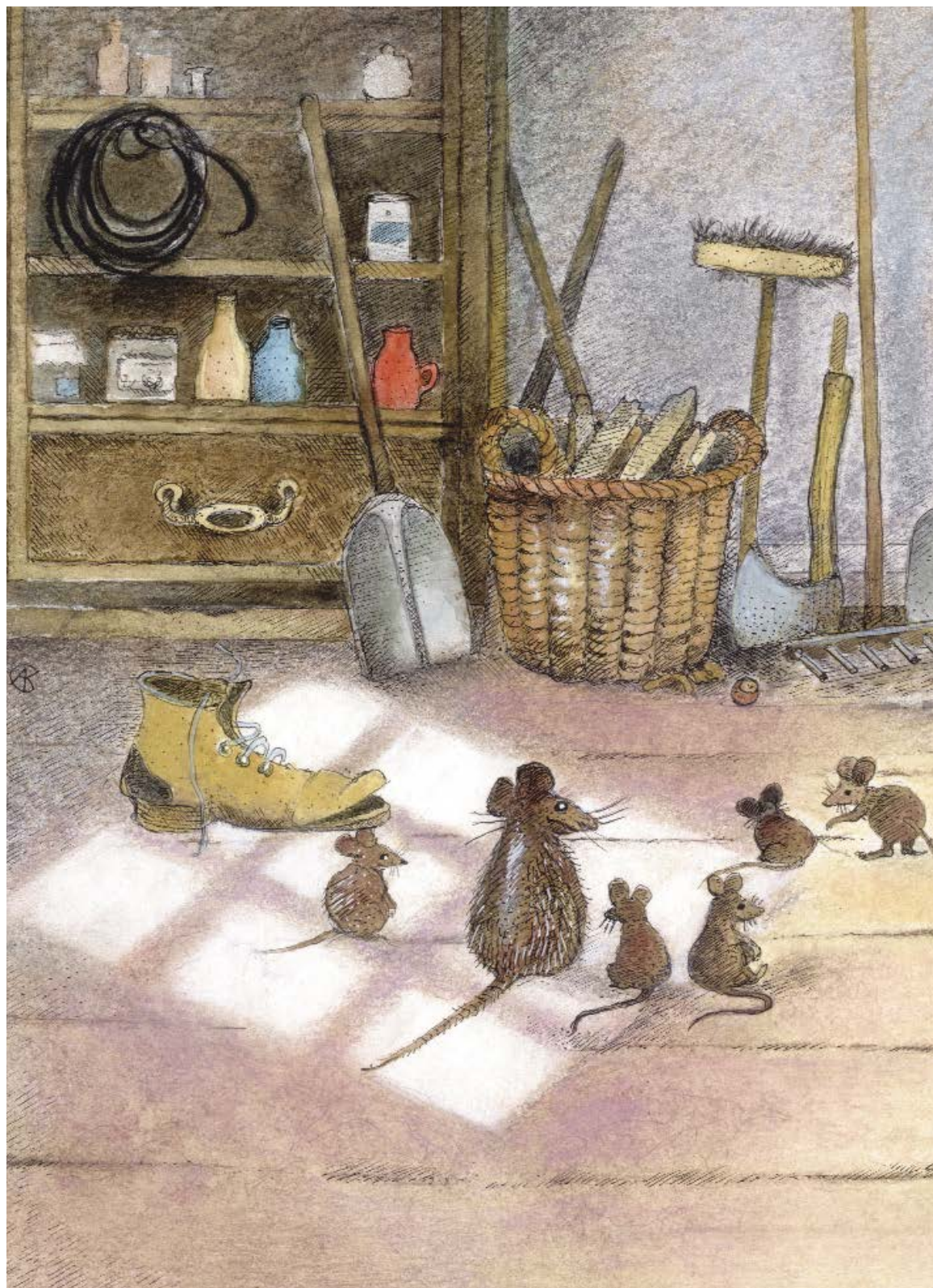
– Do rana?!... – zatrwożył się. – Ale...

– Nic nie poradzimy, jest za ciemno.

I nachyliwszy się jeszcze bardziej, tak że jej wąsy łaskotały Dobosza, szepnęła najciszej jak umiała:

– Ktoś tam jest...







To oczywiste stwierdzenie przypieczętowane zostało tym samym co uprzednio, basowym, nieco metalicznym, głosem:

– No i co z tym patyczkiem? Potrzebny wam? Hm... Bo jak nie, to może mnie by się przydał?

No, tego to już było dla Dobosza za wiele.

– Potrzebny! Ale to bardzo potrzebny! – wrzasnął w obronie swoich praw do pałeczki.

– To prawda! – zapiszczała najgłośniejszym jak umiała Mama Mysz.

– No jeśli tak, hm... to przepraszam... nie było rozmowy... Zabierajcie go sobie! – Głos spod balii był wyraźnie zawiedziony.

– No... tak... ale... – jękał się Dobosz.

– Ale... jeśli to możliwe, pałeczkę zabierzemy rano... – wyjaśniła sprawę Pola.

– Rano...? To mogę wam jej do rana popilnować – zaproponował głos. – Hm... Jeśli chcecie, oczywiście.

– Chcemy... oczywiście, popilnuj... – zgodzili się, bo cokolwiek to znaczyło, i tak przecież nie mieli innego wyjścia.

Mama Mysz szepnęła jeszcze Doboszowi parę słów pociechy, po czym zeskoczyła i pospiesznie, zgarnąwszy swoją gromadkę, rozpląnęła się w ciemnościach komórki.

N

oce grudniowe są zawsze ciemne i długie, ale ta była najdłuższą i najczarniejszą w całym Doboszowym życiu. Siedział nieborak i, wytrzeszczając oczy, to pełen obaw zerkał w stronę balii, to znów, z nadzieją na świt, w stronę raz jednego, raz drugiego okienka.

Lecz zarówno za oknem, jak i za balią panowały niezmacone niczym spokój i mrok, więc w końcu znużony czuwaniem ludek zasnął.

Ale sen, ten przyjaciel, który zwykle pomaga zapomnieć o troskach i kłopotach, tej nocy nie przyniósł Doboszowi odpoczynku. Śniło mu się bowiem, że jakaś wielka łapa chce zabrać jego drugą pałeczkę. Dobosz szarpał się i szarpał, ale łapsko ścisnęło mu ramię tak mocno, że tracił siły i już tylko

ledwo-ledwo, samymi koniuszkami palców trzymał swój skarb, aż w końcu... obudził się.

Ale co to?! Coś nadal ciągnęło go z całej mocy za rękaw i na dodatek wrzeszczało mu do ucha:

– Obudź się! Obudź się, już dzień!

Przerażony Dobosz otworzył szeroko oczy i zobaczył, jak stojąca na grzybku Pola tarmosi go ze wszystkich sił.

– No nareszcie! – odsapnęła z ulgą. – Nie rozumiem, jak można tak mocno spać.

Rzeczywiście, w komórce było już całkiem jasno.

Mysz zeszła na podłogę. Popatrzyła uważnie w kierunku łopaty (zza której, jeśli się Dobosz nie mylił, wystawało coś, co przypominało małe mysie ogonki), potem w kierunku balii i zdecydowała:

– No to idę!

– Po moją pałeczkę? – upewnił się Dobosz.

– Najpierw na zwiady.

– Bądź ostrożna! – powiedział nie wiadomo po co, bo przecież nie znał nikogo bardziej ostrożnego od Mamy Myszy.

Idąc cichutko i powoli, Pola zbliżała się do balii. Obserwowała ją jakiś czas z bezpiecznej odległości, po czym podeszła i zajrzała do wnętrza najpierw z jednej strony, potem z drugiej.

Zaczęła ostrożnie, coraz bardziej i bardziej wsuwać się między naczynie a ścianę... aż nagle zniknęła wszystkim z oczu. Nastąpiła niewyobrażalna cisza. Po chwili dały się słyszeć jakieś dźwięki, szurania, sapania... Wtem stłumiony, cieniutki głos, który był bez wątpienia głosem Mamy Myszy, zawołał:

– Niech mi ktoś pomoże!

Dobosz znieruchomiał, za to mysie dzieci zaczęły drzeć tak, że aż łopata dzwoniła o ścianę. Ale nim ktokolwiek zdążył zareagować, oczom wszystkich ukazał się najpierw ogonek, następnie pupa i w końcu cała, ciągnąca za sobą długą pałeczkę Mama Mysz.

Pałeczka nie była zbyt ciężka, ale widać uwolnienie jej z ciasnej pułapki wymagało od myszki sporo wysiłku, bo zatrzymała się i otarła pot z czoła. A potem, odetchnąwszy głęboko, z uśmiechem zawołała w kierunku łopaty:

– Czy ktoś mógłby mi wreszcie pomóc?

– Uff!!! – Ludek odetchnął z taką ulgą, że źdźbła w jego kapeluszu zafalowały. W mig Psotka była przy balii, za nią Pucuś, Pikuś, Pysia, Pisia i P... pozostałe dzieci. Najmniejsze otoczyły mamę i wtulały nosy w jej brązowe futerko. Starsze wzięły odzyskaną zgubę i – z jednego grzybka na drugi, z drugiego na bębenek – utracony skarb znalazł się na nowo w dłoni przeszczęśliwego Dobosza!

Jeszcze wczoraj posiadanie obu pałeczek było dla niego czymś zupełnie naturalnym. Teraz to, co do niedawna wydawało się oczywiste, okazało się czymś tak fantastycznym, że nie mogło się z niczym równać – najwspanialszą rzeczą na całutkim świecie! Patrzył więc wciąż na pałeczki, jakby się bał, że mogą zniknąć, gdy oderwie od nich wzrok... Delikatnie puknął parę razy to jedną pałeczką, to drugą w bębenek – i upewniwszy się w końcu, że na pewno ma je obie – spojrzał na mysią rodzinę, i powoli, wzruszonym głosem, rzekł:

– Dziękuję wam bardzo.



Sadowiąc się w klapku, wyraźnie zmęczona Mama Mysz uśmiechnęła się dobrotliwie:

– Ależ nie ma za co.

– Jak to nie ma za co? – zdziwił się. – Przecież...

– Przecież ty też byś nam pomógł, gdyby trzeba było, prawda? Bo przyjaciele zawsze sobie pomagają – dodała z głębokim przekonaniem Psotka.

Dobosz patrzył na te małe, dzielne zwierzątka i czując, że niewiele brakuje, by jego oczy zamieniły się w polewaczkę, głośno powiedział:

– Dziękuję wam, moi przyjaciele!

Nastąpiła podniosła cisza, w której słychać było spokojne, równomierne oddechy... Wszyscy odpoczywali...

No, prawie wszyscy... Bo nagle Pajduś zapytał:

– Mamo, a kto właściwie jest tam, za balią?

Pola poderwała się i krzyknęła:

– Oj! Zupełnie zapomniałam!

– No właśnie, kto tam jest?

– Jak się nazywa?

– I czemu siedzi za balią?

– A nie trzeba się go bać? – zaczęły wypytywać dzieci jedno przez drugie.



– Nie trzeba, nie trzeba. To mój dobry znajomy. Ciiii!  
Uspokójcie się, to wam powiem!

– Cicho, cicho, to mama powie! – uciszały się teraz nawzajem myszki, czyniąc jeszcze większy hałas.

Niecierpliwa jak zwykle Psotka, widząc, że na odpowiedź przyjdzie jeszcze trochę poczekać, podbiegła do balii i, zastukawszy w jej dno: puk, puk, spytała:

– Przepraszam, czy mogę wiedzieć, kto tam jest?

W odpowiedzi najpierw usłyszała chrząknięcie, po czym gruby, stłumiony głos odpowiedział jej:

– Ja.

– Aha! – ucieszyła się Psotka. Po chwili jednak, zorientowawszy się, że właściwie dalej nic nie wie, spytała ponownie: – A jak masz na imię?

– Bryś – odpowiedział głos.

– A ja Psotka – przedstawiła się grzecznie myszka i ostrożnie zajrzała za balię...

Pod ścianą nieruchomo stała szarobrazowa postać. Był to spory, większy chyba nawet od Dobosza, gliniany pies. Nie wyglądał groźnie, mimo to myszka zatrzymała się i, nie wchodząc dalej, spytała:

– A co tam robisz, Brysiu?

– Pilnuję.



– A czego pilnujesz?

– Balii.

– A jak się pilnuje balii?

– Jak by ci to wytłumaczyć? To bardzo trudna i odpowiedzialna praca. Hm... Krótko mówiąc: nie wolno się od niej zbyt oddalać i trzeba ją stale mieć na oku.

– A czy mogłabym jej kiedyś popilnować?

– A chciałabyś? – zainteresował się Bryś.

– Aha!

– No to chyba, że razem ze mną...

Pсотka zobaczyła, że Bryś uważniej jej się przyjrzał.

– Bo to trzeba być bardzo czujnym i cierpliwym! – stwierdził z powagą.

– To to ja umiem – powiedziała z przekonaniem myszka.

– Hm... – Pies wahał się ciągle, wyraźnie oceniając, czy może powierzyć jej choć niewielką część tak odpowiedzialnego zadania.

– Trochę mała jesteś... – zauważył. – Ale to może i dobrze, bo tu bardzo ciasno. Jak chcesz, to możesz spróbować. Zapraszam.

– Teraz...? – zaskoczona Pсотka nie wiedziała, co ma zrobić. Ostrożność walczyła z ciekawością, przy czym ta druga wyraźnie brała górę. Myszka zrobiła więc krok

do przodu i zaczęła się rozglądać. Nagle coś chwyciło ją mocno za ogonek.

– Aj!!! – krzyknęła, usiłując się uwolnić, ale coś trzymało tak mocno, że nie mogła się ruszyć.

– Mamo! – zaczęła wołać na całe gardło.

– Mamo! Mamo! – usłyszała tuż za sobą szamoczące się z czymś Pysię i Pisię.

– Mamo!!! – darły się już teraz wszystkie trzy.

– Co się stało?! – Pola błyskawicznie oceniła sytuację. – Pysia! Pisia! Natychmiast puśćcie ogonek Psotki!

– My ją ratujemy... bo tak nagle zniknęła... – tłumaczyły się myszki, z trudem łapiąc oddech.

– Jestem już duża i wiem, co robię! – Oswobodzona Psotka szybko odzyskiwała pewność siebie. – Tylko niepotrzebnie wystraszyłyście mamę! No i trochę też mnie... – przyznała się w końcu, choć nie musiała, bo było to widać aż nadto.

– Oj, dzieci, dzieci... – Mama Mysz miała dziś ciężki dzień – Ustawcie się ładnie, to was zapoznam z Brysiem.

– Mamo, a skąd ty go znasz? – dopytywała się Pysia.

– I kto to właściwie jest ten Bryś? – chciała wiedzieć Pisia.

– Bryś jest psem. Poznałam go dawno temu, gdy latem pilnował ogródka.

– A co to jest PIES? – spytał Pajduś.

– Pies, synku...? Pies to bardzo mądra istota, która ma trzy podstawowe zalety: po pierwsze, nie przepada za kotami, po drugie, jest zazwyczaj znacznie od nich większa, i po trzecie – bardzo głośno na nie szczeka. Podsumowując: pies jest dla myszy bardzo przydatny – skończyła wykład Mama i, korzystając z chwili ciszy, zapukała w balię: – Obiecałam ci, Brysiu, przedstawić moją rodzinę. Można?

– Ależ proszę. Będzie mi niezwykle miło. – Bryś był bardzo uprzejmy.



Myszki szurnęły i już stały w równiutkim rządku, a Mama Mysz, wpuszczając je jedną po drugiej, z dumą wyliczała:

– Pysia, potem Pisia, Pikuś, Piszczek, Pyszczek... – Dzieci wchodziły z jednej strony balii, kłaniały się grzecznie (czego Dobosz był pewien, choć niestety nijak nie mógł tego zobaczyć) i wymijając wiadro, wychodziły z jej drugiej strony. Pola została jeszcze chwilę, coś tam chyba z Brysiem wspominali, po czym – obiecawszy wkrótce znów go odwiedzić – pożegnała się i wyszła.



Ach, jak ludek był ciekaw tego Brysia! Zwłaszcza że przecież istnienie psa wyszło na jaw za jego, Dobosza, sprawą (to znaczy pałeczki, ale to przecież to samo)! A wyglądało na to, że jako jedyny z całej komórki jeszcze go nie widział.

– Mówię ci, jest taaaaki wielki! – Pikuś próbował pokazać, stając na palcach i wyciągając łapki w kierunku sufitu.

– I ma takie szarobrazowe futerko jak my! – dodał Pyszczek.

– I umie dobrze pilnować! – pochwaliła się swoją wiedzą Psotka.

– O, to akurat wiem lepiej od was! Przecież całą noc pilnował mojej pałeczki! – przypomniał trochę nadąsany ludek.

– A na szyi ma taką czerwoną... oberżę! – przypomniał sobie Pajduś.

– Obrożę! – poprawiła go Pysia.

– I nie czerwoną, a raczej amarantową – próbowała dorównać jej wiedzą Pisia.

Dobosz słuchał zaaferowanych myszek i jednocześnie nie przestawał się zastanawiać, w jaki sposób i on mógłby zobaczyć mieszkającego za balią Brysia.

– Ale, ale! Właściwie powinienem mu za to pilnowanie podziękować! Tylko nie wiem, jak to zrobić...

– Nie martw się. Podziękowałam w twoim imieniu – powiedziała dobrodusznie Pola, nie zdając sobie sprawy, że choć

miała najlepsze intencje, to jeszcze bardziej popsuła ludkowi humor.

– No, na dziś chyba dosyć wrażeń! – oznajmiła, a zauważywszy, że mały Pajduś ze zmęczenia ledwo trzyma się na nogach, dodała: – Idziemy. Dobranoc, Doboszu!

– Dobranoc... – odpowiedział bez przekonania.

– Dobranoc! – pisnęły chórem myszki i cała rodzinka powędrowała do siebie, zostawiwszy zafrasowanego ludka sam na sam z dręczącym go pytaniem: „Co zrobić, aby jak najszybciej na własne oczy zobaczyć Brysia?”.

Było już całkiem ciemno, gdy zaświtał mu pomysł... Powtarzając go sobie po cichutku (żeby przypadkiem do rana nie zapomnieć), zadowolony, że znalazł sposób, jak zrealizować swój plan, i mile zadziwiony swoją pomysłowością, usnął.





Fragment z książki Łukasza Wierzbickiego  
**AFRYKA KAZIKA**

Copyright © Łukasz Wierzbicki 2008; Copyright © Wydawnictwo BIS 2008

ilustracje Agencja Reklamowa NEXUS

Łukasz Wierzbicki

# AFRYKA KAZIKA



## ◦ LIST Z NAD NILU ◦

**D**otarłem do Egiptu, kraju wielkich piramid, tajemniczego Sfinksa i potężnej rzeki Nil. Wody Nilu dają życie całej tej krainie, nawadniają pola, gaszą pragnienie ludzi i zwierząt, a i ja nieraz piłem wodę prosto z rzeki, gdy zmęczony wędrówką zatrzymałem się nad jej brzegiem.

Spotkała mnie dziś nieprzyjemna przygoda, a właściwie dwie, ale najpierw opowiem o pierwszej. Otóż zbliżał się wieczór, a ja rozglądałem się za miejscem na rozbicie namiotu, by odpocząć po całodniowym marszu, gdy poczułem uderzenie w plecy. Odwróciłem się i ujrzałem, że miejscowy złodziejaszek, myśląc pewnie, że wiozę w bagażu nie wiadomo jakie skarby, wymachuje kijem.

– Ty bandyto! – krzyknąłem i sięgnąłem po schowaną w torbie pompkę do roweru, by bronić się przed kolejnymi ciosami.

Na widok pompki złodziej pomyślał chyba, że wyciągam jakąś groźną broń, bo uciekł przestraszony i na szczęście więcej się nie pokazał.



Zmęczony dowlokłem się nad rzekę i rozbiłem obóz. Wyciągnąłem z torby jajka, ananasy, banany oraz kozie mleko, usmażyłem omlet, po czym ustawiłem nad ogniem garnek z mlekiem i korzystając z wolnej chwili, zabrałem się do naprawiania dziurawej opony w rowerze. Załatałem dziurę i napompowałem koło.

Już chciałem schować pompkę do torby, gdy ujrzałem, jak zza mojego namiotu czmycha bure kocisko. Zaraz potem wzrok mój padł na patelnię, na której jeszcze przed chwilą czekał na mnie omlet. Już go tam nie było. Miejscowy kocur skorzystał z okazji i kiedy zajęty byłem naprawą roweru, zakradł się do obozu i spałaszował moją kolację!

– Ty złodziejaszku! – krzyknąłem i pogroziłem kotu pompką do roweru, która już drugi raz tego dnia okazała się dobrym straszakiem na takich gagatków.

Kot stanął i odwrócił się, przez chwilę przyglądał mi się z bezpiecznej odległości i oblizywał bezczelnie, po czym machnął ogonem i uciekł na dobre. Niestety, znikł także mój omlet. Musiałem zadowolić się gotowanym mlekiem i owocami.

Siadłem przed namiotem, posiliłem się i zabrałem do pisania listów do rodziny. Wysoko nad mą głową rozlegało się klekotanie wędrownych ptaków, które tą właśnie trasą wracają wiosną z Afryki do Europy. Zadarłem głowę i ujrzałem lecące do domu bociany, radośnie machające skrzydłami. Pomyślałem wtedy, że przecież wędrowne ptaki szybciej niż moje listy dotrą do Polski.

– Halo, boćki! – zawołałem na całe gardło w kierunku szybującego po wieczornym niebie ptactwa. – Boćki kochane, bardzo proszę, gdy doleciecie do Polski, koniecznie pozdrowcie ode mnie moją żonę Marysię i dzieciaki!

## ◦ TAJEMNICZE BĘBNY ◦

Posuwając się wzdłuż Nilu, dotarłem do odciętej od reszty świata krainy Szilluków, którzy żyją na wyspach wśród bezkresnych bagien. Zastanawiałem się właśnie, jak znaleźć drogę, nie mając żadnej mapy tych okolic, gdy ujrzałem gromadę myśliwych polujących na dzikie ptactwo.

– Czy wskażecie mi drogę do wioski waszego wodza? – spytałem.

– Oczywiście, podróżniku. Możesz zostawić tu rower i udać się z nami. Zaprowadzimy cię bezpiecznie do naszego wodza – odpowiedzieli.

– To wspaniale, chodźmy zatem – ucieszyłem się.

Myśliwi ruszyli gęsiego poprzez bagna. Idąc, uderzali w wodę oszczepami, by odstraszyć wygrzewające się w słońcu krokodyle. Potworne gady uciekały na nasz widok i rzucały się z pluskiem do mętnej wody. Mokradła stawały się coraz głębsze, zdjąłem więc ubranie, związałem spodnie oraz koszulę w tobołek i sied-



łem dalej, trzymając pakunek nad głową, by go nie zamoczyć. Myśliwi nie musieli się o to martwić, poza przepaską na biodrach nie mieli bowiem na sobie żadnego ubrania.

Nastał wieczór. Postanowiliśmy zatrzymać się na noc w jednej z leżących na naszym szlaku wiosek. Siadłem przy ognisku i zawinałem się w koc. Sponad bagien uniosły się chmary komarów i brzęczały nad moją głową tak głośno, że nie sposób było usnąć. Miejskowa staruszka obserwowała, jak oganiam się od natrętów, po chwili podeszła do mnie i podała miseczkę z jakimś smarowidłem.

– Wysmaruj się tym porządnie, chłopcze. Głowę, brzuch i rękę, a wtedy komary dadzą ci spokój – powiedziała.

Powąchałem dziwną miksturę. Cuchnęła okropnie.

Nic dziwnego, że komary uciekają od takiego smrodu – pomyślałem.

– Dziękuję, ale spróbuję odegnać komary dymem z ogniska – odpowiedziałem uprzejmie.

– Jak sobie życzysz, chłopcze. Spokojnej nocy! – powiedziała staruszka i odeszła, podśpiewując sobie pod nosem wesoło.

Wkrótce komary pochowały się przed chłodem nocy, a ja ułożyłem się wygodnie przy ognisku i spoglądałem na rozgwieżdżone niebo nad głową. Mieszkańcy wioski grali na wielkich bębnach, których dudnienie niosło się po wodach otaczających wioskę. Bum-bum, bum-bum-bum... Byłem zmęczony, oczy same mi się zamykały. Przez sen słyszałem jeszcze, jakby gdzieś daleko odezwało się echo: bum-bubum... bubum-bubum...

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę. Podobnie jak poprzedniego dnia przeprawialiśmy się przez mokradła i płoszyliśmy wylegające się w słońcu krokodyle. Wreszcie dotarliśmy do wioski wodza Szilluków. Już z daleka usłyszałem serdeczne powitanie:

– Witaj, Kazik, samotny podróżniku z Polski! Czekałem na ciebie od rana! – wołał na mój widok wódz.

– Witam, wodzu! Skąd wiedziałeś, że cię odwiedzę i że przybywam z Polski? – zdziwiłem się, bo nie miałem pojęcia, jak dotarła do niego wieść o mojej wizycie.

Wódz uściskał mnie tak mocno, że aż mi dech na chwilę zaparło.

– Wiem wszystko, drogi przyjacielu! Dzięki tam-tamom...

Wódz wskazał wielkie bębny stojące na placu pośrodku wioski.

– To tam-tamy – wyjaśnił. – W Afryce używamy ich, by przekazywać nowiny z wioski do wioski. Ich odgłos słychać daleko. Ludzie, u których nocowałeś, uderzając w bębny, przekazali mi radosną wiadomość o twoich odwiedzinach.

– Bębnieniem można przekazać wiadomość? – spytałem z niedowierzaniem.

– Oczywiście – odparł wódz. – Wiem nawet o tym, że wczoraj bardzo dokuczały ci komary...

– To prawda, pogryzły mnie paskudnie – przyznałem, pokazując ślady ukąszeń na policzku, i obaj roześmialiśmy się głośno.

Przez kilka dni wypoczywałem w wiosce wodza po trudach podróży. Obserwowałem, jak Szillukowie polują, łowią ryby



i wypasają krowy na położonych pośród bagien wyspach. Na pożegnanie wódz podarował mi dwie włócznie, których jego plemię używa do polowań.

– Oby ochroniły cię przed dzikim zwierzem, który może czaić się na szlaku – powiedział.

– Dziękuję – odrzekłem. – Zabiorę je w dalszą podróż, choć mam nadzieję, że nie będę zmuszony ich użyć.

– Ja również mam taką nadzieję. Szczęśliwej drogi, Kazik! Wieczorem uderzymy w nasze bębny i przekazemy tam-tamami prośbę, by wszystkie wioski, do których zawitasz, udzieliły ci gościny – powiedział wódz i uściskał mnie na pożegnanie tak mocno, że znów dech mi na chwilę zaparło.



# ◦ KRÓL ZWIERZĄT ◦

**P**redzierałem się przez gęsty tropikalny las i nie zauważyłem nawet, kiedy przyszedł wieczór. W dżungli łatwo przeoczyć zachód słońca, gdyż szerokie liście drzew zatrzymują promienie słoneczne i nawet w środku dnia panuje tu półmrok.

W gęstwinie nie sposób było znaleźć miejsce na ustawienie namiotu, wszędzie dżungla, dżungla i splątane zarośla, mimo więc późnej pory, choć wokół zapadły ciemności, szedłem dalej. Jedynie księżyc oświetlał wąską ścieżkę leśną, którą brnąłem przed siebie, płosząc co chwila śpiące zwierzęta. A to dzikie kury podrywały się z wrzaskiem do lotu, a to antylopa zrywała się do ucieczki tuż spod moich nóg. Najstraszniejsza jednak przygoda dopiero na mnie czekała!

Usłyszałem szelest. Zatrzymałem się i zagrodziłem rowerem ścieżkę. Dostrzegłem w ciemnościach tajemniczy kształt, który zbliżał się do mnie. Przypomniałem sobie wtedy o podarowanych przez wodza Szilluków włóczniach, które miały pomóc mi



w razie niebezpieczeństwa. Oparłem jedną z włóczni o rower, drugą zaś ścisnąłem w dłoniach i skierowałem w stronę czającej się w mroku sylwetki. Wtem kilka kroków przede mną olbrzymie kły zabłyśły w świetle księżyca, rozległ się potężny ryk i wiedziałem już, że spotkałem najgroźniejsze zwierzę Afryki, króla zwierząt, lwa we własnej osobie.

Wtedy lew skoczył. Poczuliem uderzenie i upadłem na ziemię. Przez chwilę leżałem bez ruchu, nie wiedząc, co się stało.

To koniec! Pożarł mnie lew! – pomyślałem.

Ale, ale... chwileczkę! Widziałem księżyc i gwiazdy w górze, a to znaczyło, że nie wylądowałem w brzuchu drapieżcy. Sprawdziłem, czy nie brakuje mi którejś ręki albo nogi, ale wszystko miałem na swoim miejscu. Rozejrzałem się. Włócznie leżały na ziemi połamane.

Lew skoczył, natrafił na ich ostrza, przestraszył się i uciekł – wnioskowałem. A jeśli nie uciekł, tylko przyczaił gdzieś w gęstwinie? – zrodził się zaraz w moim sercu niepokój.

Pozbierałem się śpiesznie i bez zwłoki ruszyłem w dalszą drogę. Wtedy przypomniałem sobie, że gdy żegnałem się z rodziną na dworcu kolejowym, synek poprosił mnie, bym przywiózł mu z Afryki zdjęcie lwa, a tu, proszę, gdy spotkałem króla zwierząt, byłem tak przerażony, że martwiłem się tylko o uratowanie życia i nawet nie wyciągnąłem z torby aparatu fotograficznego. Cóż, choć bez zdjęcia, choć zmęczony, obdarty i brudny, nie martwiłem się wcale, bo przecież wyjść z takiej przygody w jednym kawałku to naprawdę wielkie szczęście!

Opowiadanie z książki RENATY PIĄTKOWSKIEJ  
MĄDRA GŁOWA ZNA PRZYSŁOWIA

Copyright © Renata Piątkowska; Copyright © Wydawnictwo BIS 2012

Renata Piątkowska



ilustrował Artur Nowicki



Zamiast bawić się misiami i czesać lalki, Julka woląла mieszać w garnkach, ucierać, przelewać, posypywać i wałkować wszystko, co się da. Można było robić przy tym ważną minę i oblizywać łyżki jak prawdziwa kucharka. Dlatego gdy tylko w kuchni zabrzączały pokrywki i zaszumiała woda, Julka już stała w drzwiach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

– Chcesz mi pomóc, Julciu? – spytała mama i zaraz zawiązała Julce kolorowy fartuszek.

– Co mam robić? – Julka miała wielką ochotę coś pomieszać, pokroić albo posmarować.

Mama pokazała garnek, w którym leżały obrane ziemniaki, i spytała:

– Może je opłuczesz?

Julce nie trzeba było dwa razy powtarzać. Bardzo chętnie taplała się w wodzie i uczyła ziemniaki pływać. Dwa najładniejsze schowała sobie do kieszonki, a jeden poturlał się pod szafkę i nie dało się go wyciągnąć. Resztę mama postawiła na piecu i posoliła. Julce wydawało się

jednak, że jedna łyżeczka soli to stanowczo za mało, i gdy mama nie widziała, dosypała jeszcze dwie.

– No to co mam teraz robić? – spytała po chwili.

Mama rozejrzała się po kuchni, wyjęła z szuflady wielką drewnianą łyżkę, wręczyła ją Julce i powiedziała:

– Pomieszaj ostrożnie ten gulasz i wrzuc do niego jeden listek laurowy. – Mówiąc to, podała Julce słóiczek, w którym trzymała suche, twarde, ciemnozielone listki.

Julka posłusznie wyjęła jeden i wrzuciła do gulaszu. Ale zaraz potem pomyślała, że te listki muszą być chyba strasznie stare, bo takie sztywne i zasuszone. Jaki z nich pożytek? Nie ma to jak świeże, mięciutkie listeczki, o, chociażby takie jak te z pelargonii albo paprotki. Julka uwinęła się raz dwa i urwała każdej roślince po jednym listku. Przyniosła nawet kilka większych, ale też bardzo ładnych z ogrodu. Zrobił się z tego całkiem spory bukiet. Wrzuciła go do gulaszu, zamieszała wielką łyżką i bardzo z siebie zadowolona spytała:

– A teraz co mam robić?

– Pilnuj tego gulaszu, żeby się nie przypalił. – Ledwo mama to powiedziała, zadzwonił telefon. Okazało się, że to jej koleżanka, a więc zanosilo się na dłuższą pogawędkę.

No i może Julka przypilnowałaby tego gulaszu, ale właśnie wtedy wrócił z pracy tata, więc jak zwykle pobiegła z piskiem do przedpokoju i rzuciła mu się na szyję.





– Tatusiu, zobacz, mam nowego konika! – wyjęła z kieszeni małego pluszowego kucyka i podsunęła tacie pod nos. – To bardzo mądry konik. Dostałam go dzisiaj od babci. Jest piękny, pluszowy, nawet kopyta ma owłosione!

– I do tego ma różową grzywkę – zauważył tata.

– Też chciałbyś taką mieć, prawda? – spytała Julka.

– Oczywiście, marzę również o owłosionych kopytach – zapewnił tata i lekko zaniepokojony pociągnął nosem. – A co tu tak dziwnie pachnie?

Na te słowa mama porzuciła telefon i zawołała:

– Przypała się!

– Ojej! – jęknęła Julka i pobiegła do kuchni, wymachując drewnianą łyżką.

Potem było tak: gulasz wylądował w koszu na śmieci, zaraz za nim trafiły tam niemożliwie przesolone ziemniaki. Mama załamywała ręce i wietrzyła kuchnię, a tata, patrząc na Julkę, stwierdził:

– Jestem okropnie głodny, chyba będę musiał cię zjeść.

Julka z piskiem rzuciła się do ucieczki, a tata gonił ją wokół stołu. Wreszcie, slaniając się na nogach, złapał telefon i zamówił pizzę.

– Tak to jest. **Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść** – wysapał.

– Jak to sześć? Ja i mama to tylko dwie kucharki. – Żeby nie było wątpliwości, Julka pokazała dwa paluszki.

– To takie przysłowie – wyjaśnił tata – i nietrudno zgadnąć, skąd się wzięło. Pewnie dawno temu sześć kucharek gotowało coś wspólnie w wielkiej kuchni. Wyobrażasz sobie, co tam się musiało dziać? Pokrywki podskakiwały, czajniki gwizdały, młynki nie nadażały mleć, wałki wałkować, a wszystko wkoło kipiało.

– Albo się przypalało – dodała Julka.

– Z rondli buchała para, a kucharki co chwila coś siekały, mieszały, soliły lub słodziły na potęgę. Bywało, że jedna zupa była przyprawiona sześć razy, bo każda kucharka dodawała coś od siebie. Potem się kłóciły, a w powietrzu latały chochle i patelnie. Co jedna usmażyła, to druga polala wodą, trzecia posypała pieprzem, czwarta skropiła octem, piąta posmarowała musztardą...

– A szósta dorzuciła liście laurowe – dodała Julka.

– No właśnie. I tak, choć robota w kuchni wrzała, to goście nie doczekali się obiadu. Podobnie jak ja dzisiaj – stwierdził tata.

Na szczęście w tym momencie do drzwi zadzwonił dostawca pizzy, co tacie wyraźnie poprawiło humor. I choć pizza była wielka jak młyńskie koło, to po obiedzie wszyscy mieli jeszcze ochotę na coś słodkiego. Wtedy mama wyjęła lody i napełniła nimi pucharki. Julka posypała je rodzynkami i tartą czekoladą, a na koniec wbiła w każdą porcję kruchy biszkopt. Mama dołożyła po łyżce bitej śmietany. Lody wyglądały tak pięknie, że tata na ich widok wymyślił nowe przysłowie:

– Gdzie kucharki dwie, tam się dobrze je! – zawołał.  
A Julka pomyślała, że jej tata jest bardzo mądry, chociaż nie ma różowej grzywki i owłosionych kopyt.



Opowiadanie z książki RENATY PIĄTKOWSKIEJ  
SZCZĘŚCIE ŚPI NA LEWYM BOKU

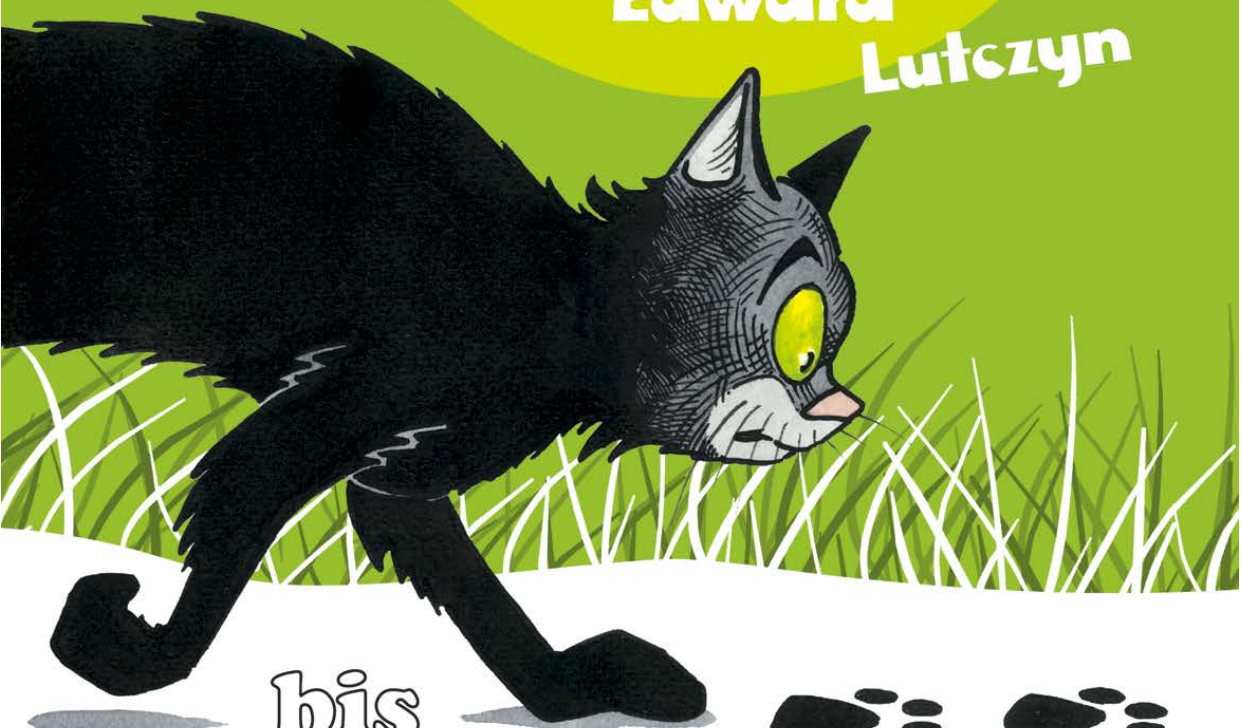
Copyright © Renata Piątkowska 2007; Copyright © Wydawnictwo BIS 2007

Renata  
Piątkowska


# Szczęście śpi na lewym boku

ilustracje

Edward  
Lutczyn



# Podkowa i diabeł

awno, dawno temu, w zagubionej wśród gór wiosce mieszkał kowal Dunstan. O każdej porze dnia spotkać go można było w kuźni, gdzie pochylony nad paleniskiem wykuwał młotem rozpalone do czerwoności podkowy. Z najdalszych okolic przyprawiano do niego konie, bo wiadomo było, że nikt nie podkuje ich lepiej niż on. Ten chłop, wielki jak dąb, był obdarzony nie tylko ogromną siłą, ale również licznymi przymiotami ducha. Słynął z wyjątkowej wręcz pracowitości, pobożności i uczciwości. Dlatego trudno zrozumieć, dlaczego właśnie do niego udał się diabeł Asmodeusz. Może liczył na naiwność tego prawego człowieka, a może sądził, że kowal nie rozpozna w nim szatana, jeśli znajdzie sobie jakieś cudaczne przebranie. Dlatego wystroił się w coś, co trudno nazwać płaszczem, bo bardziej przypominało wyleniały szlafrok starej czarownicy. I to czarownicy całkowicie

pozbawionej gustu. Na głowę włożył dziwaczny beret w kolorze zgniłej marchewki ozdobiony koronką, która wyglądała jak zużyta chusteczka do nosa. Całości dopełniał pstrokaty szalik z przybrudzonej pończochy. I w tych łańkach, które wytrzasnął chyba spod ziemi, stanął pewnego dnia w drzwiach kuźni i rzekł:

– Witaj, dobry człowieku! Mam nadzieję, że nie odmówisz pomocy strudzonemu wędrowcowi. Mam kłopot z moimi, no wiesz, z moimi... – Tu diabeł wysunął przed siebie nogę, zakończoną solidnym kopytem.

– Z kopytami? Masz kłopot z kopytami? – spytał Dunstan zdziwiony, że ktoś, kto nie jest koniem, ma takie same nogi jak to szlachetne zwierzę. Kowal przypomniał sobie zasłyszaną gdzieś historię o człowieku, który miał trzy nogi i dzięki temu mógł jednocześnie siedzieć i stać, ale z osobnikiem, który by miał kopyta jak ten tu cudak, jeszcze się nie zetknął. Chociaż czy na pewno? Bo gdy się tak dobrze przyjrzeć, to co on tam ma pod beretem? Wygląda to trochę jak rogi. Do tego chytre, rozbiegane oczka, a spod płaszcza wystaje najprawdziwszy ogon. Trochę podobny do krowiego, ale jednak czarci. Teraz kowal już wiedział, z kim ma do czynienia. I pierwsza myśl, by przepędzić diabła święconą wodą, niechętnie ustąpiła miejsca drugiej, by wykorzystać nadarzającą się okazję.

– No cóż, podkuć kopyta to dla mnie nie nowina, a twoje niczym się od końskich nie różnią. Poczekaj chwilę, a zaraz dobierzemy odpowiednie podkowy – powiedział Dunstan.

I chociaż był jak zwykle skory do pomocy i spokojny, to uśmiech, który zawsze miał na twarzy tak samo jak nos czy usta, teraz gdzieś zniknął. Niezrażony tym szatan sunął za nim, rozsiewając wokół delikatny zapach siarki i rozglądając się z zadowoleniem. Najbardziej cieszył go buchający z paleniska ogień, który sprawił, że przez chwilę poczuł się jak w domu. Za to Dunstan poczuł się lepiej dopiero wtedy, gdy miał w zasięgu ręki ciężki kowalski młot. I trudno mu się dziwić, bo kto z nas chciałby być na jego miejscu i mieć za plecami czarta z piekła rodem?

A trzeba przyznać, że Asmodeusz to wyjątkowo paskudny okaz diabła, który od dawna dawał się we znaki mieszkańcom tej małej wioski. Nie ma wątpliwości, że to jego złośliwe podszepty zachęciły leniwą Katarzynę, by wylegiwała się w łóżku do południa. To on namącił jej w głowie, radząc:

– A śpij sobie, Kasiu, spokojnie. Co tam obiad i porządki. Tym niech się zajmie twój mąż. W końcu on nic nie robi, tylko od świtu spaceruje sobie po polu, na świeżym powietrzu. No, niby przy okazji orze pole, ale trudno to nazwać pracą.

Przecież to koń ciągnie ten pług, a nie on, prawda? Za to ty jesteś przemęczona i należy ci się odpoczynek. Sam widziałem, że w zeszłym roku umyłaś w chacie jedno okno, a kiedyś na wiosnę zamiotłaś podwórze.

– Tak było – przyznała chętnie Katarzyna i, wdzięczna za dobrą radę, naciągnęła pierzynę po samą brodę.

Nietrudno zgadnąć, co się działo, gdy wrócił do domu jej spracowany i głodny mąż. Ich mała chata ledwo mogła pomieścić wszystkie krzyki i przekleństwa, którymi się obzuczali. A diabeł, bardzo z siebie zadowolony, słuchał tej awantury jak najpiękniejszej muzyki. Nie gorzej mu się powiodło, gdy zawitał do pobliskiej gospody. Tam chciwy karczmarz chętnie nadstawił ucha na czarcie podszepty.

– Dolej do butelek z gorzałką wody, rozcieńcz też piwo i wino, a zarobisz trochę grosza. A najmłodszą córkę wydaj za mąż za starego Huberta. Co z tego, że to chłop niemłody, ale ma tartak, a i ten kawał lasu za gospodą należy do niego. Co z tego, że dziewczyna kocha innego? To się odkocha i tyle, a ojca przecież posłuchać musi – juddził diabeł.

Na wieść o planowanych zaślubinach ze starym Hubertem córka karczmarza chciała rzucić się w przepaść, zaś rozjuszeni chłopi, mając w kuflach więcej wody niż piwa, odgrazali się, że puszczą gospodę z dymem. A diabeł? Diabeł, słuchając tego pomstowania, tych kłótni i lam-

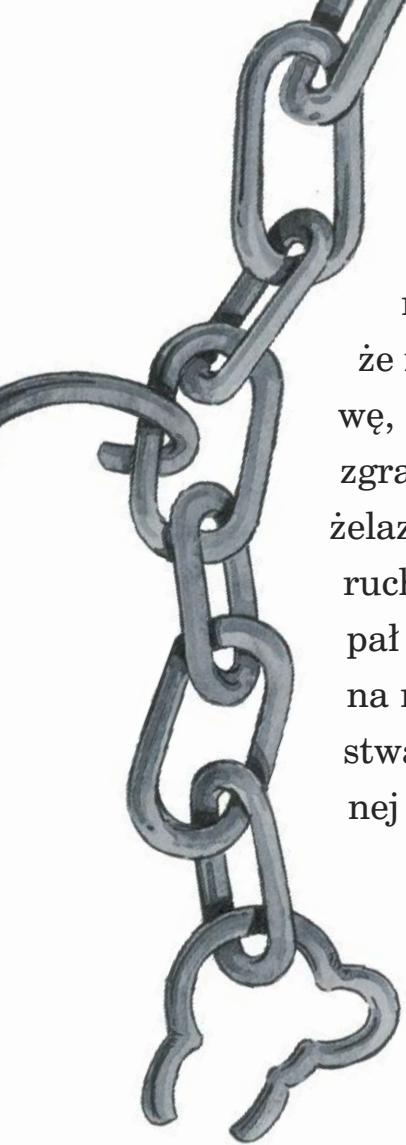


tów, był wniebowzięty, choć w jego wypadku lepiej chyba powiedzieć: zachwycony. Ale najbardziej ten czart lubił bawić się kosztem dzieci. I bywało, że gdy spotkał maszerującego do szkoły malca, podsuwał mu takie robaczywe myśli:

– Znowu idziesz do szkoły? A po co? Przecież już tyle razy tam byłeś. Ty naprawdę myślisz, że siedzenie przez sześć godzin na twardej ławce jest zdrowe? Czy nie lepiej poleżeć sobie na trawce? A nie pomyślałeś, że nauczyciel też chciałby trochę od was odpocząć? Toż to stary, zmęczony człowiek. Byłby szczęśliwy, wiedząc, że poszedłeś na wagary. Do licha! Kto wymyślił takie okropne słowo? O wiele lepiej niż wagary brzmi: spacer, przejażdżka na rowerze lub zabawa w chowanego. No i zapewniam cię, chłopcze, że rodzice też byliby z ciebie dumni. Choć może lepiej nie mów im o tym, dość mają swoich spraw na głowie. O, zobacz, tam idzie twój kolega, weź go ze sobą, we dwóch zabawa będzie jeszcze lepsza. Przekonasz się.

No i dzięki takim pokrętnym radom w szkole było czasem więcej pustych ławek niż pełnych. Nauczyciel siwiał coraz bardziej ze zmartwienia, a diabeł chichotał złośliwie.

To tylko trzy przykłady z długiej listy niegodziwości, jakich dopuścił się Asmodeusz, zanim podsunął kowalowi do podkucia swoje z lekka cuchnące kopyta. Podczas gdy



ten mieszkaniec piekieł najchętniej usiadłby pośród płomieni buzujących na palenisku, kowal oszukując sam siebie, że nic a nic się nie boi, sięgnął nie po podkowę, ale po solidny łańcuch. Potem jednym zgrabnym ruchem spętał diabła, który w tym żelaznym uścisku nie mógł wykonać żadnego ruchu. Nie poddał się jednak bez walki. Szarpał się i wrywał, a łańcuch podzwaniał na nim drwiąco. Miotał więc czart przekleństwa tak straszliwe, że uszy Dunstana w jednej chwili zrobiły się czerwone jak wiśnie.

– Zamilcz wreszcie! – wrzasnął rozgniewany i rzucił w szatana jakimś brudnym gałganem. Po chwili w kuźni zapadła cisza, a kowal pomyślał, że nie taki diabeł straszny, i poczuł się panem sytuacji.

– Posiedzisz tu sobie do rana, a jutro porozmawiamy – rzucił przez ramię i wyszedł, zamknąwszy drzwi na wielką kłódkę

Jednak tej nocy ani diabeł, ani kowal nie zmrużyli oka. Diabeł, bo było mu niewygodnie, łańcuchy uwierały go boleśnie, a na dodatek ogień w palenisku, którym tak

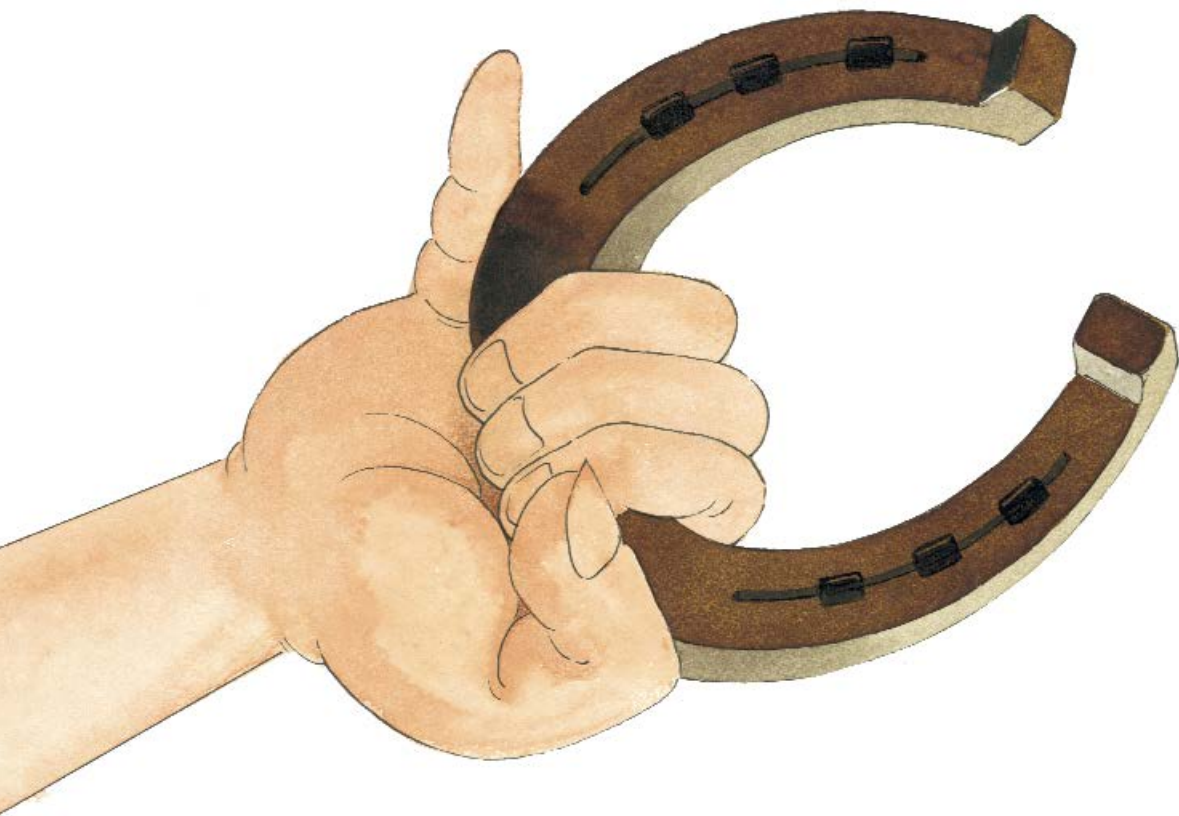
cieszył swe oczy, przygasł i w kuźni zrobiło się zimno. A kowal, bo do świtu obmyślał, co począć z tym czartem, który przybył od niego wprost z piekła. Wiedział, że nie może więzić go bez końca w swojej kuźni, ale chciał, by diabeł słono mu zapłacił za zdjęcie łańcuchów. I nie chodziło Dunstanowi o wielkie bogactwo czy przychylność fortuny. Cena za wolność miała być całkiem inna, a przy tym bardzo dla diabła dokuczliwa. Wprawdzie bogactwo kusi każdego człowieka i pewnie nikt w całej wiosce nie zrezygnowałby z góry złota, za jaką gotów był wykupić się diabeł, jednak kowal Dunstan był zbyt prawy, by ulec pokusie. Dlatego gdy następnego dnia stanął przed Asmodeuszem, rzekł do niego:

– Daję ci, diable, wybór, choć na niego nie zasługujesz. Możesz odejść stąd już za chwilę lub spędzić w tej kuźni jeszcze wiele dni i nocy. Jeśli zdecydujesz się zostać, uprzykrzę ci każdą spędzoną tu minutę. Ale odejść stąd będziesz mógł tylko pod jednym warunkiem.

Tu kowal zrobił efektowną pauzę, a zniecierpliwiony diabeł, czekając dalszego ciągu, nerwowo przebierał kopytami.

– A więc musisz mi przysiąc na głowę twego pana, księcia piekieł Lucyfera, że nigdy nie będziesz kusił do złego i sprowadzał nieszczęść na ludzi, którzy na drzwiach swych domów zawieszają podkowę.

Diabeł aż gębę otworzył ze zdziwienia, tak bardzo zaskoczyło go żądanie kowala. Trzy dni kombinował, droczył się, wił i kusił, straszył i mydlił oczy, jednym słowem robił wszystko, by się od takiej obietnicy wykręcić. Ale Dunstan był twardy i nieugięty, a na dodatek każdego dnia mocniej zaciskał krępujące czarta łańcuchy. Nie rozpałał też ognia na palenisku i diabeł, przywykły do gorąca i piekielnych płomieni, nie mógł wprost znieść przenikliwego zimna panującego w kuźni. Wreszcie czwartego dnia, dzwoniąc zębami i łańcuchami, złożył przysięgę na głowę Lucyfera, a takiego przyrzeczenia żaden diabeł dotąd nie odważył się złamać. Wtedy kowal, który miał już szczerze dość towarzystwa śmierdzącego





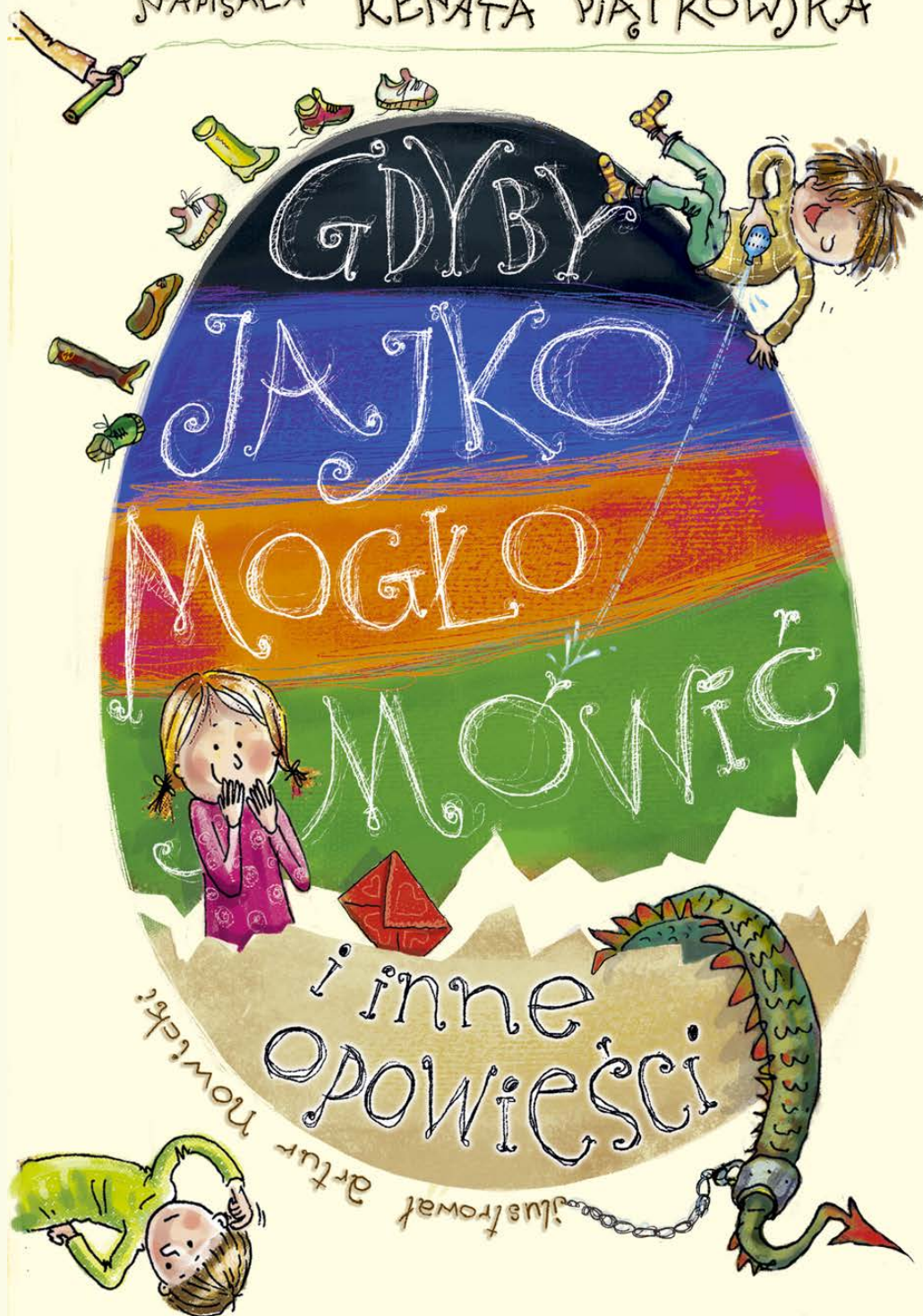
siarką szatana, wyplątał go z łańcuchów i przez tydzień wietrzył kuźnię. Rozdał też chłopom podkowy i polecił, by je mocno przybili do drzwi. Nie wszyscy go posłuchali, ale ci, którzy to zrobili, nadziwić się nie mogli, że w ich chatach zabrakło jakoś powodów do kłótni, nieszczęścia się ich nie imają, a świat jakiś lepszy się wydaje.

To wszystko działo się bardzo dawno temu, ale Asmodeusza podobno do dziś nikt z tej przysięgi nie zwolnił. Dlatego ludzie dalej przybijają na drzwiach podkową i mówią: niech wisi na szczęście. Tylko konie nie mogą pojąć, jakim cudem to, co one noszą na kopytach, ma zapewnić ludziom przychyłność losu.

# Opowiadanie z książki RENATY PIĄTKOWSKIEJ GDYBY JAJKO MOGŁO MÓWIĆ

Copyright © Renata Piątkowska 2011; Copyright © Wydawnictwo BIS 2011

NAPISAŁA RENATA PIĄTKOWSKA



# MARZANNA

Pierwszy dzień wiosny był tuż, tuż, a drzewa i trawniki nadal pokrywała warstwa śniegu. Białe płatki wirowały za oknem, a na parapecie zmarznięte ptaki przytupywały dla rozgrzewki.

– Mam nadzieję, że jak zrobimy Marzannę i wrzucimy ją do rzeki, to zima wreszcie się skończy – powiedziała nasza pani.

Ustaliliśmy, że chłopcy postarają się o słomę, a dziewczyny o bluzkę, spódnicę, wstążki i chustkę. Anka zaproponowała nawet, że przyniesie dla Marzanny sukienkę swojej mamy, taką czarną, z wielkim dekoltem, bardzo krótką i obcisłą. A do tego srebrne szpilki i malutką błyszczącą torebkę. Ale pani, nie wiadomo dlaczego, uparła się na białą bluzkę, wstążki i kolorową spódnicę. Nie chciała się też zgodzić na perukę, którą Zuza była gotowa wykraść z nocnej szafki swojej babci. Szkoda, bo to były całkiem ładne żółte loczki, ale podobno Marzanna musi mieć warkocze i to najlepiej ze słomy, a na głowie koniecznie wianek.



– Nasza kukła musi być najładniejsza ze wszystkich – zapaliła się do roboty Majka i obiecała, że przyniesie Marzannie biustonosz swojej starszej siostry. – A na koniec oblejemy ją perfumami, żeby ładnie pachniała – dodała.

Pani, gdy to usłyszała, ostatecznie zgodziła się na perfumy, ale o biustonoszu nie chciała słyszeć. W sumie Marzanna wyszła nam wielka i gruba. Miała okrągłą głowę i sterczące po bokach warkocze. Na słomianej szyi pani zawiesiła jej czerwone korale, głowę ozdobiła wiankiem, a na przydługiej spódnicy zawiązała fartuszek w kwiatki. Wyszło nawet nie najgorzej. Niestety Majka zamiast perfum przyniosła dezodorant. Miał całkiem ładny zapach, więc popsikaliśmy trochę Marzannę pod pachami. Na koniec pani zarzuciła jej na słomiane plecy kolorową chustę i powiedziała:

– Świetnie się spisaliście. Kukła jak malowana. Jutro rano wrzucimy ją do rzeki. Ale najpierw pospacerujemy sobie z naszą Marzanną po okolicy. Bo musicie wiedzieć, że



dawniej nosiło się Marzannę od domu do domu, żeby zabrała ze sobą całe zło, choroby i nieszczęścia. Dopiero potem prowadzono ją do rzeki i topiono w wodzie lub palono. Chodziło o to, by za jednym zamachem pozbyć się wszelkich kłopotów, przepędzić zimę i przywołać wiosnę. Mam nadzieję, że nam też się to uda.

No i nie wiem, co poszło nie tak, bo choć obeszliliśmy z Marzanną trzy długie ulice, a potem wrzuciliśmy ją z głośnym pluskiem do rzeki, i choć na własne oczy widzieliśmy, jak płynie i po chwili znika pod wodą, to zima wcale nie przepadła wraz z nią. Śnieg dalej sypał i wiatr szarpał nam kurtki. A ja myślałam, że razem z Marzanną wpadną do rzeki lodowe sople i śniegowe chmury, że mróz zaskrzypi i po raz ostatni uszczypnie mnie w nos. Miało być tak, że jak woda pochłonie słomianą kukłę, to zaraz potem zaświeci słońce, przylecą ptaki i zrobi się zielono.

– Niestety, choć dziś jest pierwszy dzień wiosny, zima nie chce zostawić nas w spokoju. – Nasza pani była niepokieszona. – A przecież zwykle następnego dnia po utopieniu Marzanny na wsiach chodzono od domu do domu z zieloną, sosnową gałęzią. Nazywano ją latkiem lub zielonym gaikiem. Była przybrana wstążkami, wydmuszkami, papierowymi kwiatami i dzwoneczkami. Młodzi nieśli latko i śpiewali piosenki, jakby samą wiosnę prowadzili do domów, a gospodynie obdarowywały ich słodkimi placzkami, jajkami, obwarzankami i drobnymi pieniążkami. Tak to właśnie dawniej wyglądało. Ale w tym roku zima jest ja-

kaś wyjątkowa i latko będzie musiało zaczekać. – Nasza pani westchnęła i otuliła się grubym szalem.

No i ta wyjątkowa zima trwałaby pewnie do dzisiaj, gdyby nie Dorota. Dorota to moja najlepsza koleżanka i to właśnie ona wymyśliła, że zima nie odeszła, bo nie spodobała jej się nasza wielka, gruba i niezgrabna kukła ze słomy w za długiej spódnicy.

– Musimy spróbować jeszcze raz – powiedziała – ale tym razem same zrobimy Marzannę.

– Jasne, i nasza będzie dużo ładniejsza. – Od razu spodobał mi się ten pomysł. – Może zamiast wpychać słomę do starej bluzki i zaplatać sztywne, słomiane warkocze, poszukamy jakiejś lalki i przerobimy ją na Marzannę? – zaproponowałam.

Oczywiście zakładałam, że to Dorota poświęci jedną ze swych lalek, bo ja nie miałam takiego zamiaru. Ona jednak nawet nie chciała o tym słyszeć.

– No to co robimy? – spytałam, a Dorota wzruszyła ramionami i rozejrzała się po pokoju. To był największy pokój w jej domu. Pełno w nim było półek z książkami, zdjęć, obrazów i różnych komódek. Na jednej z nich, obok lampy z żółtym abażurem, stał na dwóch łapkach stary, wypchany zajac. Dorota wzięła go do ręki, obejrzała ze wszystkich stron, otrzepała z kurzu i powiedziała:

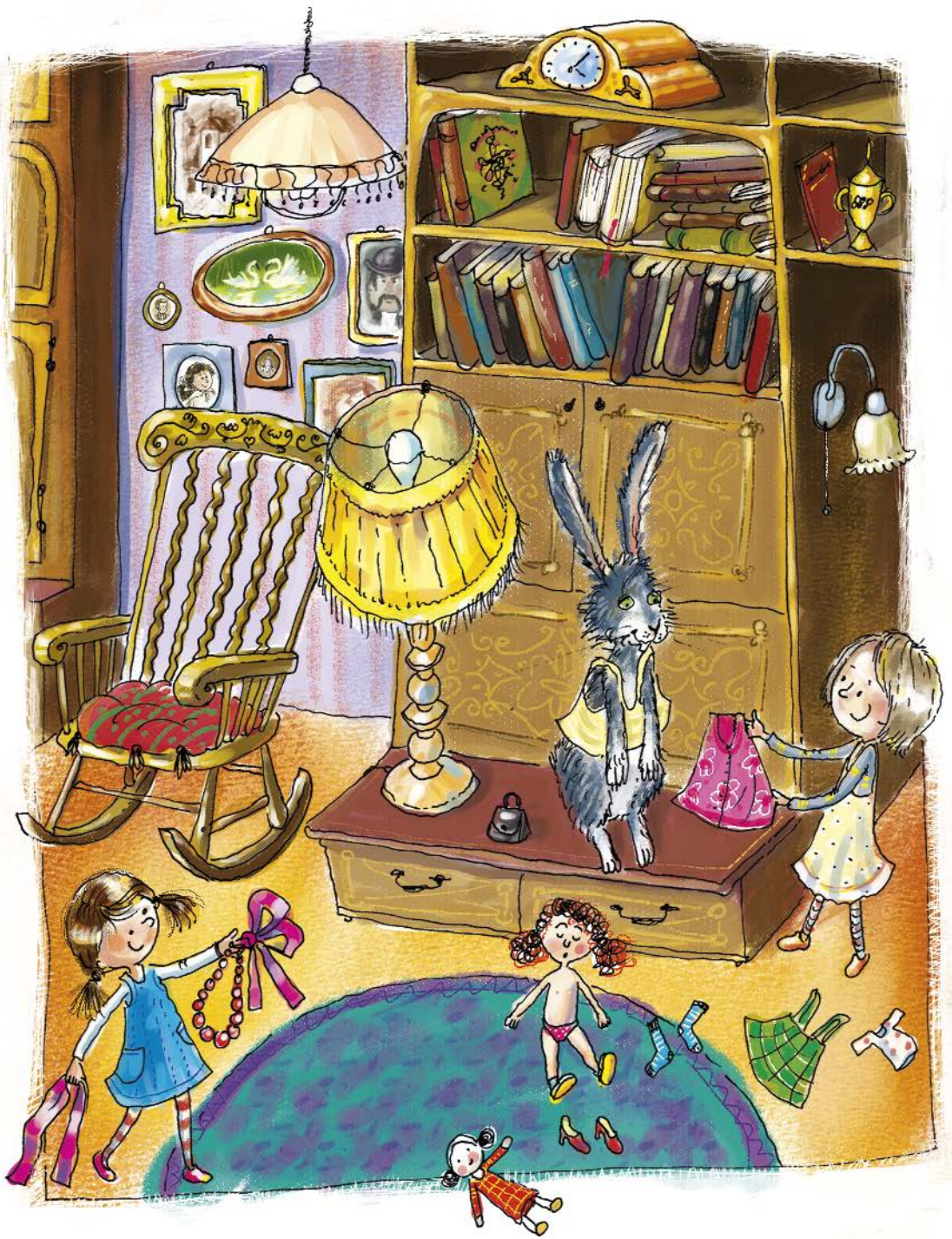
– Nada się w sam raz. Zrobimy z niego piękną Marzannę.

– A jak się połapią, że zniknął, to co? – spytałam trochę zaniepokojona.

– Eee tam – machnęła ręką Dorota. – Sama słyszałam, jak babcia narzekała, że ten zajac to siedlisko kurzu i moli, że sypie się z niego sierść i jego miejsce jest w koszu na śmieci.

Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, jak można przerobić zajaca na Marzannę, ale okazało się to całkiem proste. Zwłaszcza że ubranka mojej największej lalki pasowały na niego jak ulał. Naciągnęłyśmy więc na szaraka żółtą bluzkę na ramiączkach i modną minispódniczkę w kratę. Potem Dorota zawiesiła mu na szyi kolorowe korale, a na łapce małą czarną torebeczkę. Największy problem miałyśmy z uszami, które sterczały wysoko nad głową i nie wiadomo było, co z nimi zrobić. Wreszcie Dorota stwierdziła, że uszy to takie jakby warkocze i że nigdzie nie jest powiedziane, że warkocze muszą zwisać, bo równie dobrze mogą być zadarte. Skoro tak, to ozdobiłam każde ucho różową kokardą, a gdy jeszcze przycięłyśmy naszej Marzannie wąsiki, to wyglądała naprawdę pięknie. I nawet złote mole, które od czasu do czasu wylatywały z zajaca, nie popsowały końcowego efektu.

Jeszcze tego samego dnia, choć było zimno i padał deszcz ze śniegiem, zaniósłszy naszą Marzannę nad rzekę i wrzuciłyśmy ją do wody. Chlupnęło, uszy z różowymi kokardkami zatańczyły na powierzchni i po chwili było po wszystkim. Wtedy pomyślałam sobie: Hej, zimo, bierz zajaca i płyń do morza, bo ładniejszej Marzanny nikt ci już nie zrobi!



Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale na drugi dzień, gdy tylko się zbudziłam, zobaczyłam błękitne niebo, bez ani jednej chmurki. Świeciło słońce, ćwierkały ptaki, a śnieg zamienił się w pełne błota kałuże. Jednym słowem, nadeszła wiosna. Najwyraźniej nasza Marzanna spodobała się zimie i obie odplynęły w siną dal. Jestem pewna, że gdyby nie ja, Dorota i ta Marzanna ze sterczącymi w górę warkoczami, to śnieg padałby u nas do dzisiaj.



Opowiadanie z książki RENATY PIĄTKOWSKIEJ  
NAJWIERNIEJSI PRZYJACIELE

Copyright © Renata Piątkowska; Copyright © Wydawnictwo BIS 2014

ilustracje KATARZYNA BUKIERT

Renata Piątkowska

NAJWIERNIEJSI  
PRZYJACIELE

NIEZWYKŁE PSIE HISTORIE





# *Bratek*

---

*Na świecie nie ma lepszego psychiatry  
od szczeniaka liżącego cię po twarzy.*

*Edward Abbey*



Czy chore dzieci może odwiedzać pies i leczyć je niczym prawdziwy lekarz? Ano może. Nie ma co prawda białego fartucha, nie zagląda nikomu do gardła i nie robi zastrzyków, ale na swój sposób leczy. A pacjenci czekają niecierpliwie, kiedy pan doktor w jedwabistym futerku poda im łapę, pomacha ogonem i polize po głowie. Małe rączki chętnie gładzą wielki, kosmaty łeb, a niektóre dotykają nawet paluszkiem mokrego, czarnego nosa.

Ale z Julką było inaczej, ona miała oczy pełne łez i, co gorsza, od wielu dni nie odezwała się do nikogo ani słowem. Leżała z nogą w gipsie i kiedy ktoś ją odwiedzał, udawała, że śpi, lub w milczeniu obserwowała sufit.

– Julciu, skarbie, jak się czujesz? – dopytywała się mama.

– Ale masz rurę na nodze! Super – młodszy brat, Franek, popukał palcem w białutki gips. – Mogę ci tu narysować

śmieciarę? – spytał, wymachując czerwonym flama-  
strem.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo siostra odwróciła głowę  
i zamknęła oczy.

Właściwie nie czuła się źle. Jeżeli za bardzo się nie  
wierciła, to noga jej nie bolała. Było jej tylko trochę nie-  
wygodnie. Ale Julka nie chciała się do nikogo odzywać.  
Wiedziała, że prędzej wybuchnie płaczem, niż powie  
choć słowo. Ciągłe dudniły jej w głowie słowa doktora,  
który powiedział do rodziców:

– Po zdjęciu gipsu czeka ją długa rehabilitacja. Mam  
nadzieję, że wszystko będzie dobrze, i noga będzie  
sprawna. Ale to musi potrwać.

„Jak to: MUSI POTRWAĆ?” – myślała wystraszona  
dziewczynka. Przecież ona była tancerką, chodziła  
do szkoły baletowej i za miesiąc miała tańczyć w praw-  
dziwym przedstawieniu. A tu na nodze zamiast ałasowej  
baletki miała okropny, twardy gips. I choć rodzice ciągle  
powtarzali, że wszystko będzie dobrze, Julka wiedziała  
swoje. Była pewna, że już nic nigdy nie będzie dobrze,  
i nie chciała o tym rozmawiać.

– Ona ciągle milczy albo płacze. To nie może tak być.  
Wszyscy próbujemy jakoś ją pocieszyć, a Julcia nie chce  
nawet spojrzeć w naszą stronę. – Mama była wyraźnie  
zmartwiona.

– A kiedy wczoraj przyszły dziewczyny z jej klasy, nakryła sobie głowę poduszką. One ją o coś pytały, ale Julka się nie odezwała, więc sobie poszły. Potem długo pociągała nosem i miała czerwone oczy – naskarżył Franek.

W końcu ktoś wpadł na pomysł, że Julce mógłby pomóc pies. Podobno taki specjalnie szkolony czworonóg może działać więcej niż cała rodzina i wszystkie koleżanki razem wzięte.

– Ojej, to Julkę będzie leczył jakiś Ciapek? – Mały Franek aż otworzył buzię ze zdziwienia, ale nikt go nie słuchał.

Za to po kilku dniach Julkę odwiedził dziwny gość. Był wielki, miał piękne złociste futerko i oczy jak dwa błyszczące kasztanki. Jego opiekun przywitał się z Julką i choć ona nawet na niego nie spojrzała, powiedział:

– To jest Bratek. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, posiedzi z tobą przez chwilę.

Potem, niezrażony brakiem odpowiedzi i panującą w pokoju ciszą, poklepał psa, szepnął mu coś do ucha i wyszedł.

Bratek jakby tylko na to czekał. Wspiął się na łóżko i polizał Julkę po nosie. Potem podał jej łapę, a kiedy Julka ją uścisnęła, złoty ogon Bratka zafalował. Dziewczynka leciutko się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę, by pogłaskać gładki, jedwabisty łeb. Przy okazji straciła



z nocnej szafki małą, pluszową żabkę. Pies natychmiast podniósł maskotkę i położył na pierzynie. Julka, niewiele myśląc, zamachnęła się i rzuciła żabę na środek pokoju. Bratek pognął za nią na łeb na szyję i za chwilę z żabą w pysku stanął przed Julką. Dziewczynka uśmiechnęła się, tym razem od ucha do ucha, odebrała psu pluszaka i cisnęła nim aż pod drzwi. Wielkie psisko jak złota strzała pomknęło w tamtą stronę. Potem maskotka fruwała po całym pokoju, a Bratek uganiał się za nią. Czasem nawet łapał żabę w locie i odnosił do rąk małej baletnicy. Julce podobała się ta zabawa. Zwłaszcza że pies nie pytał jej w kółko, jak się czuje i dlaczego nic nie mówi. On sam też nie był zbyt rozmowny, szczeknął może ze dwa razy i raz mlasnął jęzorem, kiedy Julka poczęstowała go krówką. Potem położył łeb na jej kolanach i czekał na pieszczoty. Był taki śliczny, że nie można było go nie pogłaskać. Dziewczynka objęła psa za szyję, zanurzyła rękę w jego futrze i przytuliła się, a pies trącił ją zimnym nosem, jakby mówił: „No, uszy do góry. Nie takie połamane łapy już widziałem i wszystkie pięknie się pozraszały”.

Julka sama nie wiedziała, kiedy szepnęła do złotego ucha:

– Dobry, kochany pies. – To były pierwsze słowa, jakie powiedziała od wielu dni. Zaraz potem, już głośniejszym głosem, spytała: – Zjemy jeszcze po krówce? Chcesz, Brateczku?



Brateczek oczywiście chciał. Wreszcie, gdy po cukierkach nie było już śladu, mała baletnica przeczesła psu grzebykiem złote włosy i zawiązała mu na głowie kokardkę. Nie wiadomo, czy nowa fryzura spodobała się Bratkowi, ale jego brązowe oczy śmiały się do Julki. Wtedy znowu usłyszał, że jest dobrym, mądrym psem.

Kiedy po chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł opiekun Bratka, Julka zawahała się, ale w końcu nie wytrzymała i spytała cichutko:

- Czy on może przyjść do mnie jutro?
- Oczywiście. Jeśli tylko chcesz, odwiedzi cię znowu
- zapewnił opiekun.

Bratek na pożegnanie polizał Julkę po głowie i machając złotym ogonem, wyszedł z pokoju. Wracał tam jeszcze wiele razy. Dziewczynka nie mogła się doczekać tych wizyt. Bratek pajacował, rozweselał ją i wzruszał. Przy nim Julka nie mogła udawać, że śpi, nie chciała też leżeć i patrzeć w sufit. Po prostu musiała go głaskać i przytulać, a złote uszy nadawały się idealnie do tego, by powierzać im największe tajemnice.

Szybko dało się zauważyć, że po wizytach Bratka Julka była w lepszym nastroju. Co prawda po jego wyjściu znowu milkła, ale wkrótce i to się zmieniło. No bo jak tu nie pochwalić się koleżankom, że wielki, przecudny, złoty pies spełnia wszystkie jej polecenia? Jak nie opowiedzieć o jego figlach i zwariowanych gonitwach po pokoju? O tym, że jego łapy pachną jak stary, mokry parasol, i że według Julki to jest bardzo ładny zapach?

Powoli wszystko wracało do normy. Dziewczynka jeszcze długo musiała leżeć z unieruchomioną nogą, ale znosiła to o wiele lepiej. Wrócił jej apetyt, nie mogła doczekać się gości i nie złościła się nawet wtedy, kiedy Franek narysował jej na gipsie betoniarkę i dwie łaciate krowy. Teraz w pokoju Julki ciągle coś się działo. Albo mama czytała jej na głos, albo wpadały koleżanki

i przekazywały najnowsze ploteczki. Coraz częściej pojawiał się też dziadek z krówkami i drewnianą skrzyneczką pełną szachów. A Bratek? On od jakiegoś czasu nie zaglądał do Julki. Nie dlatego, że nie polubił małej baletnicy, tylko miał już nowego pacjenta. Pewien chory, przestraszony chłopczyk nie mógł się doczekać, kiedy wielki, złocisty pies, machając ogonem, wejdzie do jego pokoju i położy swój kudłaty, mądry łeb na jego kolanach.



Fragment z książki MARCINA PAŁASZA  
STRASZYĆ NIE JEST ŁATWO

Copyright © Marcin Pałasz; Copyright © Wydawnictwo BIS 2014

# Straszyć

nie jest  
łatwo



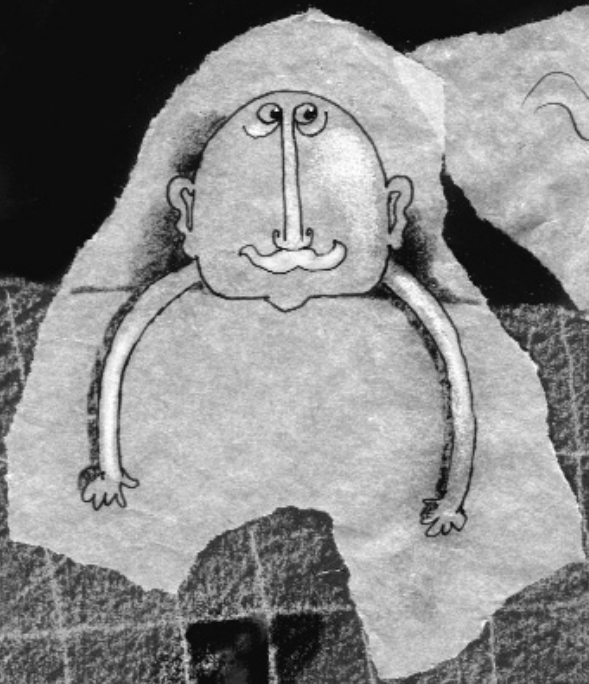
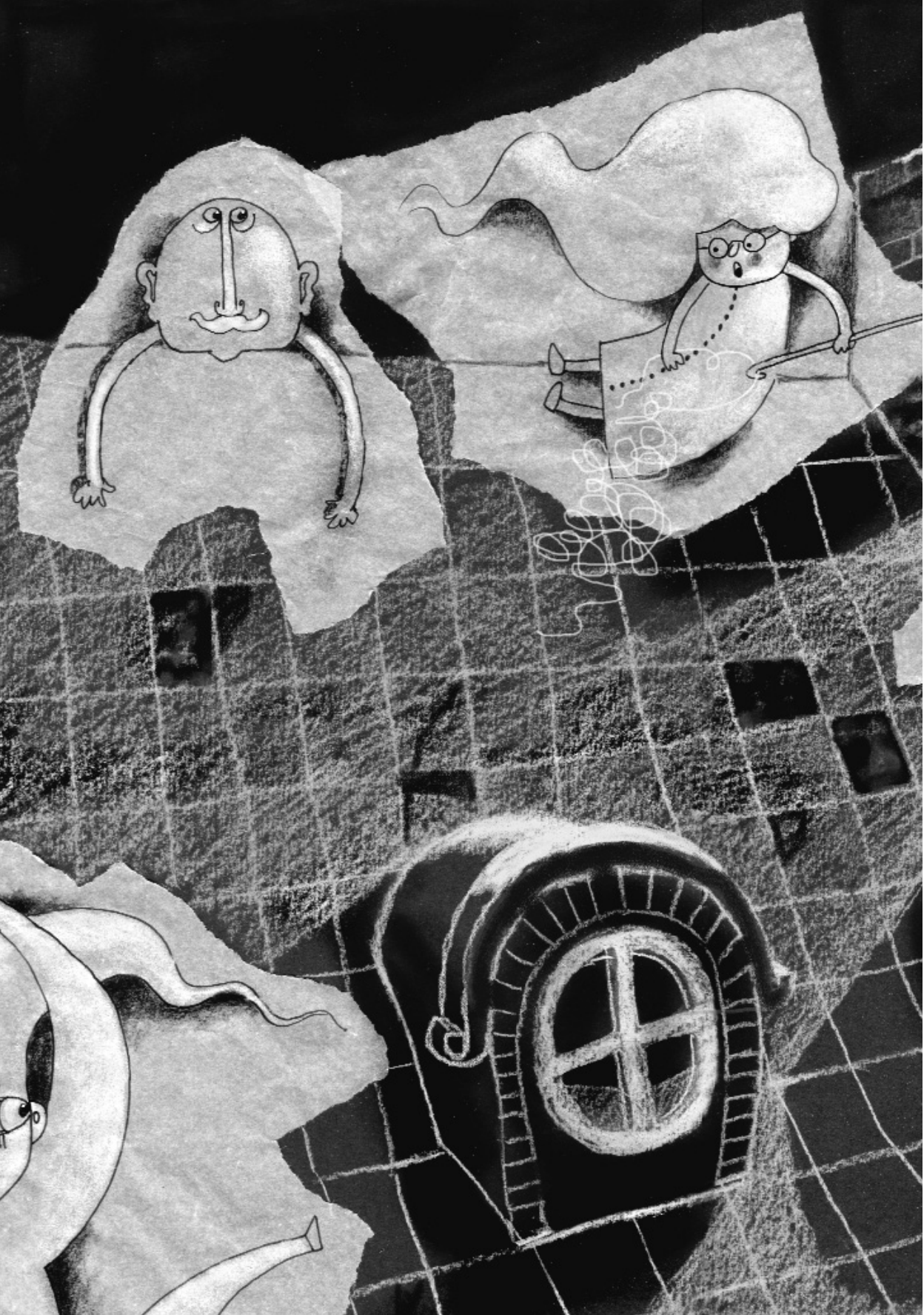
– Dłużej już nie wytrzymam! – jęczała Dusia, siedząc na brzegu studni. – Mam dość! Chcę usiąść na dachu pod moim kominem i spokojnie się opalać! I robić na drutach! Albo szydełkować! Zjawomirze, zrób coś!!!

Księżyc po raz kolejny stał w pełni i na przekór jej lamentowi świecił wesoło, od czasu do czasu przysyłając się małymi, puszystymi obłoczkami.

Dziadek zgrzytnął zębami i zapatrzył się na stary dwór, który w tej chwili – pomimo że oświetlony jedynie blaskiem księżyca i gwiazd – przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Szyb w oknach już nie było, przy ścianach stały rusztowania, wokół budynku widniały wielkie stosy kamieni, piachu i jakichś worków wypełnionych dziwnymi substancjami, wszędzie leżały deski i niepojęte dla nich narzędzia...

A wszystko zaczęło się dosłownie kilka dni po ich ostatniej, pamiętnej rozmowie na dachu, podczas ubiegłej pełni. Ledwo co zdążyli się zaciekawić, kto też mógł odwiedzić stary dwór, opuszczony od prawie dwóch wieków i zagubiony









w środku wielkiego, starego lasu, a tu nagle coś zaczęło się dziać. W dodatku w jakim tempie!

– Tęskniliśmy za ludźmi – mruknął Szurek zgryźliwie, latając nad studnią i okrążając Małego, który siedział na osłaniającym ją okrągłym omszałym daszku. – No to teraz mamy ludzi. W nadmiarze. Tyle tylko, że jakichś dziwnych.

– Nie chcą zostawać na noc – bąknął Mały z wyraźnym żalem. – Nawet postraszyć ich nie można. I w ogóle są cały czas zajęci.

– Zajęci?! – zajęczała Dusia. – To ma być zajęcie?? Oni rujną nasz dom! Mój Boże, co oni zrobili z dachem! Przecież jeden z kominów wpadł przez sufit na nasz strych! Gdybym była człowiekiem, umarłabym na serce!

– Faktycznie, dach jest chwilowo nieużyteczny – zgodził się Dziadek, starając się spokojnym tonem ułagodzić nieco Dusię. – Myślę jednak, że to nie potrwa zbyt długo.

– Oczywiście, że nie potrwa! – warknęła Dusia. – W takim tempie zrównają to miejsce z ziemią do następnej pełni! A my siedzimy tu z założonymi rękami i niczego nie robimy!

– A co możemy zrobić? – spytał Szurek posepnie. – Jest tak, jak mówi Mały: nie śpią tu, tylko przyjeżdżają co rano tą dziwną, wielką karocą bez koni. W dodatku ona dymi, warczy i śmierdzi. – Fuknął z niesmakiem. – Ja nie rozumiem, jak takie coś jeździ! Mam podejrzenia, że oni trzymają te konie w środku, pod klapą. Tak męczyć zwierzęta, przecież to bestialstwo!

– To się nazywa samochód – wyjaśnił Dziadek machinalnie. Jako jedyny z nich dość regularnie czytał gazety przynieszone mu przez Rudolfa, dzięki czemu wiedział nieco więcej o tym, co aktualnie dzieje się na świecie. – A konkretnie ciężarówka. Służy do przewożenia różnych rzeczy. I jeździ bez koni.

Szurek, usłyszawszy to, prychnął tylko, a po namyśle dodatkowo popukał się w głowę, okazując w tym momencie kompletny brak szacunku dla Dziadka i rozbawienie jego wiarą w tak absurdalne informacje. Karoca bez koni, kto to słyszał?

– Gdyby tak ich postraszyć... – rozmarzył się Mały, który jeszcze nigdy w życiu nie miał nawet najmniejszej okazji do prawdziwego straszenia ludzi. Całą sprawę znał wyłącznie z teorii oraz z opowieści Dusi i Dziadka. Niekiedy dla





zabawy straszyl Łakusia, ale co to było za straszenie, skoro Łakuś sam był wilkołakiem?

– W dodatku jutro ma być burza – burknął markotnie Szurek. – Łakuś tak mówił, a on zawsze ma rację, gdy chodzi o pogodę. Nie lubię burzy.

– Czemu? – zdziwił się szczerze Mały.  
– Przecież jest tak fajnie! Im więcej chmur, tym ciemniej w ciągu dnia, a wtedy nawet spać się nie chce!

Dusia nagle charknęła krótko, wlepiając wytrzeszczone oczy w Małego i Szurka, zakrzuszyła się, zamachała rękami, straciła równowagę i z krótkim okrzykiem „Znowu...?!” wpadła do studni.

– Trzeci raz dzisiaj wpadła – mruknął posepnie Dziadek po chwili milczenia. – Być może to z nerwów. Mam jednak podejrzenia, że ona chyba się starzeje...

– Słucham? – spytała lodowato Dusia, bezszelestnie wyłoniwszy się ze studni. – Czy ja dobrze słyszałam? Ktoś tu mówił o starości? W dodatku ktoś, kto – nie wypominając – sam do tego stopnia cierpi na starcze zaburzenia, że budzi się w świetle słonecznym?!



– Ależ, Dusiu – bąknął skruszony Dziadek, który za późno ugryzł się w język. – Po prostu nerwowy się robię, może to przez tę nadchodzącą burzę?

– Banda tumanów – prychnęła Dusia. – Straszyć wam się chce, ale żadnemu z was nie przyszło do głowy, że możemy wystraszyć ich w czasie burzy, gdy zrobi się ciemno. Jeśli będzie tak dużo chmur, jak mówił Łakuś, to sukces zapewniony...

– Będzie dużo chmur – oznajmił jakiś nowy głos, po czym zza studni wyłoniła się bura, kosmata, czworonoga postać. – Dzień dobry. To znaczy, dobry wieczór.

– Wieczór już minął – mruknął zgryźliwie Szurek, który nie wiedzieć czemu nie przepadał zbytnio za Łakusiem i wilkołakami ogólnie. – Noc już mamy...

– W takim razie dobranoc – zgodził się Łakuś bez oporów. – Będziecie straszyć?

– Będziemy! – Dziadek, mówiąc to, wydał się nagle jakby młodszy, większy i bardziej imponujący niż zazwyczaj. Oczy zasnęła mu mgła rozmarzenia. – Och, co to będzie za dzień!

Łakuś z radości popędził w kółko za własnym ogonem, po czym wskoczył na daszek studni i zawył do księżyca, nie mogąc pohamować entuzjazmu.

– A cicho mi tam!!! – skrzeknęło coś żałośnie z mrocznej głębi studni, przy akompaniamencie wściekłego „fssss–chrrrr, fssss–chrrrr–bul–bul–fssss...” – Ledwo przeniosłam się tutaj, żeby ten potępieniec nie wył mi nad głową po nocach, to już i tu mnie znalazł?!

Wilkołak speszył się do tego stopnia, że stracił równowagę, wywinął koziółka i spadł plackiem tuż u stóp Dusi.

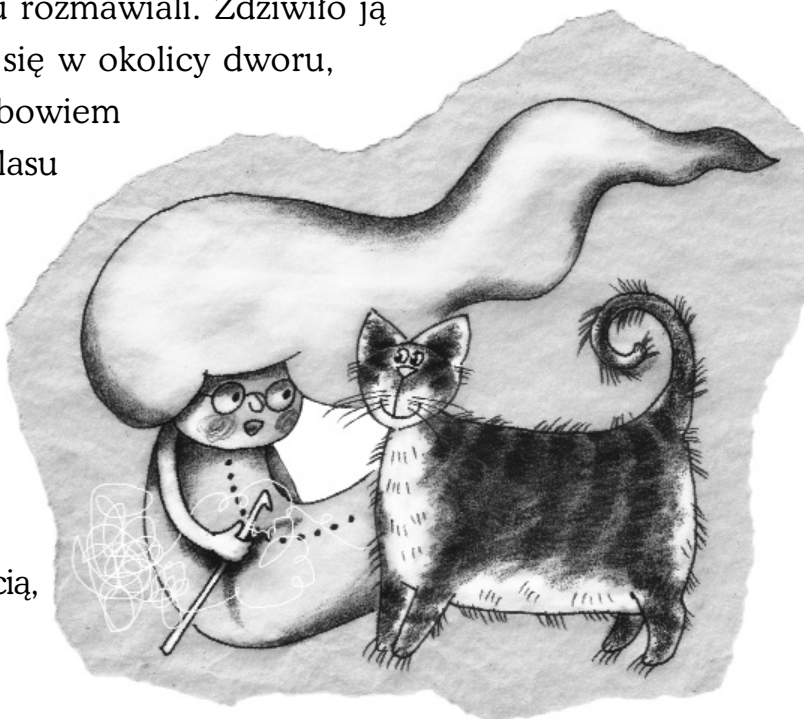
– Stara gropa – mruknął z urazą, otrzepując się z liści i gniewnie popatrując w stronę feralnej studni. – Sam nie wiem, po co Rudolf przyniósł jej ten aparat do oddychania...

– Mrrrauu? – mruknęło coś w ciemnościach, po czym rozjarzyło się dwoje złotych oczu. – Czy mowa o naszej drogiej zrzedliwej przyjaciółce mieszkającej w sadzawce?

– Witaj, Ambroży – sapnął Dziadek. – Chwilowo nasza droga przyjaciółka przeniosła się do studni, ale i tam nie ma spokoju. Co chwila ktoś jej wyje nad głową, albo na nią spada...

Dusia popatrzyła na niego złym wzrokiem, ale wkrótce przypomniała sobie, iż stary, na wpół wyłysiały kot Ambroży ma tak potężną sklerozę, że za chwilę i tak nie będzie pamiętał, o czym tu rozmawiali. Zdziwiło ją tylko, że pojawił się w okolicy dworu, na co dzień bowiem mieszkał w głębi lasu wraz z równie starą wiedźmą Mizerią.

– Co słyhać u Mizerii? – spytała ostrożnie, kierowana wyłącznie uprzejmością,



gdyż nigdy nie lubiła tej starej czarownicy, koślawej, garbatej, a w dodatku niesympatycznej i złośliwej. I to jej upodobanie do jaszczurek, pajaków i dżdżownic! Paskudztwo!

Ambroży podszedł bliżej i usiadł z westchnieniem, prostując stare kości.

– Wszystko dobrze, niestety – odparł z wyraźnym żalem.  
– Trzyma się nieźle, choć ma już prawie czterysta lat. Tym razem jednak przesadziła, zaczęła bowiem na mnie wypróbować jakieś nowe eliksiry i zaklęcia. Na mnie, który trwam przy niej od samego początku jej kariery, powodowany współczuciem, pomagając jej, zbierając dżdżownice, żabi skrzek, wilcze ziele i inne okropności. Miałbym konsumować te jej paskudztwa! Więc uciekłem. Oby ją pokrećcilo...

– Już dawno ją pokrećcilo – mruknął Szurek. – Wystarczy na nią spojrzeć.

Ambroży zamyślił się na chwilę, a Łakuś przysunął się bliżej, obwąchując go z wyraźnym zainteresowaniem. Oblizal się nawet.

– O czym to ja mówiłem? – ocknął się stary czarodziejski kocur i rozejrzał się nieprzytomnie. – Gdzie ja w ogóle jestem? I czemu ten zapchlony włochacz mnie wacha?! Kto to w ogóle jest?!

– Znowu ma atak – mruknęła Dusia z troską. – Pewnie wydaje mu się teraz, że żyje w czasach, gdy Mizeria zakochała się w ówczesnym hrabim i wysłała go tu na przeszpiegi. Kiedy to było?

– W tysiąc osiemset drugim – odparł Dziadek odruchowo.  
– Pamiętasz, jak dopadła w końcu hrabiego podczas polowania, gdy odłączył się od grupy? Biedak tak przed nią uciekał, że prawie zajechał konia na śmierć. A potem złamał nogę. A przecież ona wtedy akurat starała się wyglądać wyjątkowo pociągająco!

– Ona nigdy nie wyglądała pociągająco. I jestem zdania, że w jej wypadku żadne wysiłki nie są już w stanie pomóc...

– Ach, już wiem! – rozpromienił się Ambroży. – Miałem opowiedzieć bajkę!

Machinalnie trzepnął w nos Łakusia, który parsknął gniewnie, a Dusia aż jęknęła, usłyszawszy słowa starego kocura.

– Demencja starcza – zawyrokował Dziadek ponuro, ale Ambroży syknął tylko na niego, aby był cicho, po czym zaczął mówić, jękliwie przeciągając słowa. W dodatku nieco seplenił, gdyż brakowało mu większości zębów.



Opowiadanie z książki Joanny Wachowiak  
OPOWIĄSTKI DLA MAŁYCH USZU

Copyright © Joanna Wachowiak; Copyright © Wydawnictwo BIS 2013

Joanna Wachowiak

OPOWIĄSTKI  
DLA

małych uszu

ILUSTRACJE  
Anita Głowińska



# Dwie biedronki z jednej łąki

Na zielonej łące obok siebie mieszkały dwie biedronki. Jedna z nich miała na czerwonych skrzydełkach sześć czarnych kropek, a druga siedem, ale różniły się nie tylko tym. Chcesz wiedzieć, czym jeszcze? Na przykład tym, że kiedy padał deszcz, Sześciokropka wołała:

– Och, cudownie, że pada! Jakie czyste zrobiło się powietrze! Dzięki deszczowi urosną rośliny, rozkwitną kwiaty, na łące będzie jeszcze piękniej. A kiedy przestanie padać... Hurra! Będzie można przeglądać się w kałużach i ślizgać na błocie. Jak ja lubię deszcz!

Za to Siedmiokropka siedziała skulona pod liściem i burczała:

– Nie cierpię deszczu... W deszczu nie można fruwać, bo mokną skrzydełka... Na dodatek zrobią się kałuże, w które można wpaść,







i błoto, na którym można się poślizgnąć. Brr! Wstrętna pogoda...

A gdy pogoda się zmieniała, deszcz przestawał padać, słońce świeciło i robiło się gorąco, Siedmiokropka narzekała, wachlując się przy tym liściem:

– Okropny upał... Mam dość słońca! Praży i parzy, parzy i praży... Uff, nie wytrzymam tego gorąca! Dlaczego nie ma chociaż jednej chmury, która zakryłaby to wstrętne słońce?

W tym samym czasie, gdy Siedmiokropka marudziła, Sześciokropka cieszyła się:





– Paskudny wiatr, tak trudno się lata, gdy wieje i wieje! Nie znoszę, gdy wiatr targa mi czułki. I na dodatek wszędzie fruwią te okropne liście. Kiedy wreszcie przestanie dmuchać?

– Jak ciepło, jak przyjemnie... Uwielbiam, gdy słońce ogrzewa moje skrzydełka. Niebo jest dziś prześliczne, takie błękitne i bez jednej chmurki!

Innym razem, kiedy wiał wiatr, Siedmiokropka złościła się:



A co w tym czasie robiła Sześciokropka? Śmiała się radośnie, siedząc na liściu i lecąc na nim jak na latawcu wraz z podmuchami wiatru.

– Juhu! – wołała. – Wspaniała zabawa!

A potem odrywała łapki od liścia, rozkładała skrzydła i pozwalała, żeby wiatr ją unosił. W powietrzu fikała koziołki, wirowała i nurkowała.

– Pływam, pływam w powietrzu! – wołała przy tym ze śmiechem.

Pewnej nocy, gdy owady na łące już spały, Siedmiokropkę zbudziło światło.

– Cóż to znowu? – mamrotała obudzona. – Kto mi nie daje spać?

Okazało się, że to świetliki rozpoczęły swój taniec. Małeńkie światełka pęsały i wirowały na ciemnym niebie.

– Ach, jestem bardzo zła! Jutro będę niewyspana przez te wasze harce! – zawołała Siedmiokropka, pogroziła im małą piąstką i wróciła do łóżka.

A Sześciokropka, którą obudziły krzyki sąsiadki, usiadła na liściu i z zachwytem patrzyła w niebo.



– Ojej, jaki piękny widok...  
Brawo, brawo, małe świetliki!  
Wasz taniec jest przepiękny. To  
prawdziwa magia.

Następnego dnia na łąkę przy-  
był dawno niewidziany gość. Był  
to pasikonik, wielki podróżnik,  
który zwiedził wiele miejsc. Roz-  
mawiał ze wszystkimi owadami  
i opowiadał im, co widział. Gdy  
skończył, podeszła do niego Sied-  
miokropka. Najpierw narzekała  
na wszystko, co ją spotyka na łące,  
a w końcu spytała:

– Pasikoniku, widziałeś tyle miejsc, powiedz mi, proszę, czy  
wszystkie łąki są tak okropne jak nasza? Może lepiej będzie dla  
mnie, jak się stąd wyprowadzę, ale nie wiem, dokąd pójść...

Pasikonik zastanowił się przez chwilę.





– Myślę, że wszędzie będziesz tak samo niezadowolona jak tutaj – powiedział do biedronki.

Siedmiokropka ze złością tupnęła nogą i wróciła do swojego domku. Wtedy do pasikonika podeszła Sześciokropka. Przywitała się z nim miło i opowiedziała o wszystkich przyjemnych i wesołych rzeczach, jakie spotkały ją na łące.

– Powiedz mi, pasikoniku, czy wszędzie jest tak cudownie jak tu, u nas? – spytała.

Pasikonik uśmiechnął się do niej.

– Myślę, że wszędzie podobałoby ci się tak bardzo jak tutaj – odpowiedział.

Potem pasikonik pożegnał się, uklonił, zrobił wielki skok – i już go nie było.

A złocisty żuk, który siedział za kamieniem i wszystko słyszał, podrapał się w głowę.

– Jak to? Pasikonik chyba się pomylił? Przecież jednej biedronce mówił całkiem coś innego niż drugiej... Nic z tego nie rozumiem...

A ty rozumiesz, co pasikonik miał na myśli?

Fragment z książki Joanny Wachowiak  
**JA CHYBA ŚNIĘ**

Copyright © Joanna Wachowiak; Copyright © Wydawnictwo BIS 2014

**Joanna  
Wachowiak**

**ilustracje  
Jola  
Richter-  
Magnuszewska**



**Ja  
chyba  
śnie**





# Niebezpieczne skutki straszenia dzieci

W sobotę od rana zastanawialiśmy się, czym się zająć. Wujek zaproponował, żebyśmy wybrali się pojeździć na łyżwach.

– O nie. Nie ma mowy! – pokręciła głową ciocia. – Co to za pomysł? Przecież to niebezpieczne! Lód może pęknąć, można wpaść do wody...

– Na lodowisku? – zdziwiłem się, a wujek się roześmiał.

– A, na lodowisku... – zmieszała się ciocia. – Na lodowisku nie pęknie. Ale – dodała zaraz – na nim też jest niebezpiecznie. Mógłbyś się przewrócić, uderzyć głową w twardego lód i zrobić sobie krzywdę. Bez kasku jeździć ci nie pozwolę, nic z tego. A kasku przecież ze sobą nie masz.

A już się cieszyłem na myśl o ślizganiu się na lodowisku... Byłem rozczarowany jak nie wiem co.



– W takim razie może basen? Bartek, chciałbyś popluskać się w wodzie? – Wujek położył mi rękę na ramieniu.

Jasne, że chciałem. Aż podskoczyłem na kanapie! Ale nie zdążyłem jeszcze po tym skoku opaść, gdy ciocia powiedziała:

– Basen też odpada. Można się niebezpiecznie zachłysnąć wodą albo poślizgnąć się i do niej wpaść...

– Czy ty aby nie przesadzasz? – przerwał jej wujek. – Przecież Bartek nie byłby sam, a pod naszą opieką.

Ciocia stwierdziła jednak, że lepiej, abym na basen wybrał się z rodzicami.

– Lepiej wymyślmy coś innego – dodała, piorunując wujka wzrokiem.

– Może sala zabaw? – wymyśliłem.

Niestety, według cioci to nie był dobry pomysł: od razu powiedziała, że na pewno spociłbym się, biegając, i wyjście skończyłoby się przeziębieniem. Albo i czymś gorszym.

– Na pewno jest tam mnóstwo bakterii i wirusów – zakończyła.



Już myślałem, że nigdzie nie wyjdziemy, na szczęście wujek wpadł na świetny pomysł.

– Pojedźmy do kina.

– Tak, tak, tak! – Aż klasnąłem z radości.

Ubraliśmy się raz-dwa, to znaczy wujek i ja, bo na ciotkę trzeba było długo czekać. A potem to ona czekała na nas, bo obaj musieliśmy się przebrać: wujek dlatego, że włożył sweter, który jej się nie podobał, a ja, bo zdążyłem zgrzać się od tego czekania.

Gdy wreszcie wszyscy byliśmy gotowi, przyszła pora na zamontowanie fotelika w samochodzie.

– Na pewno dobrze go przypiąłeś? – niepokoila się ciocia.

– Tak. Bartek, możesz wsiadać.

– Sprawdź, czy pasy są dobrze napięte. A czy było słychać kliknięcie przy zapinaniu? – upewniała się ciocia.

– Pasy napięte. Kliknięcie słyszałem. Ruszajmy, bo jestem spocony – rzucił wujek, wsiadając do samochodu.

– Jazda w źle zapiętym foteliku jest ogromnie niebezpieczna – pouczała jeszcze ciocia, ale wujek tak na nią spojrział, że ucichła.

Kiedy dotarliśmy do kina, okazało się, że jedyny film dla dzieci to taki o grupie dzikich zwierząt przeżywających niesamowite przygody. Bałem się, że ciocia się na niego nie zgodzi – powie, że dzikie zwierzęta są niebezpieczne – ale na szczęście nic nie mówiła. Nie pozwoliła tylko kupić popcornu, choć wujek wyraźnie miał na niego ochotę.

– Jedząc w ciemnościach, można się niebezpiecznie zakrztusić. Poza tym popcorn jest po prostu niezdrowy – powiedziała i popchnęła nas w stronę wejścia na salę.

Spojrzeliliśmy z wujkiem na siebie.

– Ja chyba śnię... – mruknął wujek pod nosem.

Film bardzo mi się podobał. Tak jak i restauracja, w której zjedliśmy obiad, choć on akurat mógłby być smaczniejszy. Potem spacerowaliśmy po parku, karmiliśmy kaczki kawałkami bułki i właściwie sam nie wiem, kiedy dzień się skończył i znalazłem się w łóżku.

Zasnąłem bardzo szybko, to znaczy zanim skończyła się druga płyta z nagranyimi bajkami.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie okropny sen, który mi się przyśnił.

– Aaa!... Mamo!... Yyy... Wujku! – zawołałem.

– No, co tam? – Wujek zapalił lampkę i usiadł na brzegu łóżka. – Bartek, to ja. Możesz już wyjść spod kołdry.

– Śniło ci się coś, Bartusiu? – dopytywała ciocia, która też przyszła sprawdzić, co się dzieje.

– Mhm. – Pokiwałem głową. – Tak, śniło... Skorpion.

– Widzisz? To na pewno przez ten film – złościła się na wujka ciocia. – Takie są skutki straszenia dzieci!

– Skorpiona w filmie nie było – bronił się wujek.

– Jesteś pewien? – Ciocia ujęła się pod boki. – Bo kątem oka widziałam, że w kinie to ty spałeś.

– Ale to nie wszystko! – przerwałem im. – Były we śnie też krab, pająk, wąż, krokodyl, i wiedźma, i duch, agama... i wirus – dokończyłem sennie i padłem na poduszkę, bo zmęczyłem się tym wyliczaniem. – Wujku, zostaniesz ze mną, aż zasnę?





– Pewnie, że tak – obiecał i przesiadł się na krzesło, które przystawił do łóżka.

Ciocia, wciąż jeszcze gderając, zgasiła światło i wyszła z pokoju.

– Bartek – ziewnął wujek. – A czy próbowałaś poradzić sobie z takimi stworami ze złych snów? No wiesz, na przykład schować się przed nimi, uciec...?

– Pewnie, że próbuję. – Kiwnąłem głową. – Zawsze! Ale tym razem to było niemożliwe, bo w tym śnie siedziałem z nimi wszystkimi w samochodzie i byłem zapięty w foteliku. Ciasno. A rozpiąć się nie mogłem, bo to by przecież było NIEBEZPIECZNE!

Wtedy wujek zaczął się śmiać. Parskał i chichotał, aż do pokoju wróciła ciocia.

– O co chodzi tym razem? – spytała i włączyła światło.

Gdy się dowiedziała, zrobiła się czerwona jak burak. A wujek wciąż się zaśmiewał, raz po raz ocierając łzy.

– Może przestałbyś się już śmiać? – burknęła po chwili ciocia.

– No właśnie – dodałem zaniepokojony. – Wujku, nie śmieć się już, bo jeszcze ci zaszkodzi. Aż brzuch ci podskakuje! Tyle śmiechu to... może być niebezpieczne!

Ledwo to powiedziałem, wujek ryknął jeszcze głośniejszym śmiechem. Ciocia przez chwilę krzywiła twarz w różnych grymasach, ale w końcu i ona parsknęła.

Zupełnie nie rozumiałem, o co im chodzi.

Ale co niby miałem robić?

Zacząłem śmiać się razem z nimi.

Fragment z książki Joanny Wachowiak  
O CZYM NIE ŚNIŁO SIĘ DOROSŁYM

Copyright © Joanna Wachowiak; Copyright © Wydawnictwo BIS 2013

**Joanna  
Wachowiak**

ilustracje  
Jola  
Richter-  
Magnuszewska

O  
czym  
nie  
śniło  
się  
dorosłym



# Kto komu zazdrości

Na kolację była dziś zapiekanka z brukselką. Nie cierpię brukselki i próbowałem się wykręcać, ale nic to nie dało. Mama kazała mi ją zjeść, bo podobno jest bardzo zdrowa, a dzieciom potrzebne są witaminy.

- Dlaczego dzieci ciągle muszą robić rzeczy, które nie są fajne?
- mruknąłem, nabijając warzywo na widelec.
- A jakie to są niby rzeczy? – zainteresowała się mama.
- No... na przykład jeść wstrętne warzywa, chodzić wcześniej spać, ciągle myć ręce, sprzątać zabawki... – wymieniałem. – A Kofi nic nie musi. – Spojrzałem na psa, który kręcił się obok stołu. – Psy to mają dobrze! Lepiej niż dzieci.
- No, no, moje ty biedactwo – uśmiechnęła się mama. – Kończ już to dłubanie w talerzu, synku, bo robi się późno.

Obejrzałem dobranockę, umyłem się i położyłem do łóżka. Mama przeczytała mi opowiadania, pocałowała i życzyła dobrej nocy, a potem zasnąłem.

Obudziło mnie szturchanie, coś zimnego dotykało mojej ręki. Otworzyłem oczy i zobaczyłem psa siedzącego na moim łóżku.

– Nareszcie się obudziłeś. Ależ ty masz mocny sen! – odezwał się.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Kofi? Ty... mówisz? – spytałem zdumiony.

– Phi! – prychnął. – A co ty myślisz? Jakiś tam kot w butach może mówić, a ja nie mogę? Nie jestem gorszy.

Ale mamy niewiele czasu, muszę się spieszyć!

– Dlaczego? – spytałem, nic nie rozumiejąc.

– Bo wkrótce czar pryśnie i będę musiał uciekać.

– Jak Kopciuszek z bajki? – zdziwiłem się.

– Kapciuszek? – oblizwał się Kofi. – To znaczy, że jest bajka o kapciuszku? Myślałem, że tylko psy interesują się kapciami.



Od razu przypomniały mi się pogryzione kapcie taty, ale nie zdążyłem wyjaśnić, że chodzi o Kopciuszka, a nie kapciuszek, bo Kofi mówił dalej.

– Chętnie posłucham tej bajki o kapciuszku! Ale nie teraz. Muszę koniecznie coś ci wyjaśnić. To bardzo ważne, dlatego słuchaj uważnie.

– O co chodzi, piesku? –  
Pogłaskałem  
go po łebku,  
tak jak lubi.





*...Mnie nie wolno wielu rzeczy,  
które możesz robić ty...*



– Słyszałem, jak mówiłeś, że psy mają lepiej niż dzieci. To ci dopiero. Chętnie ci opowiem, jak wygląda psie życie. Mnie nie wolno wielu rzeczy, które możesz robić ty.

– Na przykład czego? – zdziwiłem się.

– Nie wolno mi wchodzić na kanapę, chociaż jest taka duża i miejsca jest dosyć... – zaczął wyliczać. – Nie wolno jeść czekolady...

– Czekolada psom szkodzi – przypomniałem.

– Wrr... Mówisz jak dorosły. Odrobina na pewno nie zaszkodzi.

A ty niby zawsze robisz tylko to, co wolno?

Musiałem w duchu przyznać, że nie.





– Nie wolno mi gryźć twoich zabawek... – mówił dalej Kofi.  
– Trzymasz je wszystkie dla siebie. Może chociaż tego gumowego węża mi dasz? Ja bym ci swoje zabawki pozwolił gryźć – spojrzał na mnie z wyrzutem.

Już miałem coś odpowiedzieć, gdy pies czujnie podniósł łeb i poruszył uszami.

– Szybko... Czas ucieka! – powiedział po chwili. – Wkrótce czar pryśnie. A chcę ci jeszcze powiedzieć o rzeczach, które muszę robić, chociaż wcale nie mam na nie ochoty. Na przykład kąpiele. Brr! Okropność! Ile razy znajdę coś naprawdę cudownie pachnącego i wytarzam się w tym, zaraz ta kąpiel. W szamponie! Czy wy, ludzie, nie rozumiecie, co pachnie naprawdę pięknie?

– A czym ty chciałbyś pachnieć? – zaciekawilem się.

– Na przykład... starym butem – rozmarzył się Kofi. – Albo... gnijącym ogórkiem. Może też być rozjechana żaba...

– Fuj! – skrzywiłem się.

– Żadne fuj! – oburzył się Kofi. – To są psie perfumy. Wszystkie psy zazdrościłyby mi takiego zapachu. Już słyszę te pytania:

„Gdzie to znalazłeś, gdzie?”. A ja zamiast tego pachnę czym? Szamponem! – parsknął.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, więc tylko pogłaskałem go po łebku.

– A na dodatek nie potrafię sam otworzyć lodówki ani drzwi do ogrodu... – żalił się. – Ty potrafisz i możesz sobie sam wyjść albo sięgnąć po coś pysznego, kiedy tylko chcesz. Może zostawiałbyś lodówkę otwartą dla mnie, co? – Spojrzał z nadzieją.

– No coś ty! – zawołałem. – Dopiero miałbym kłopoty.

– Cii..! Ciszej! – Pies znów nastawił uszu. – Aha, tak jak myślałem, czar zaraz pryśnie... Jeszcze jedno ci powiem. Wiesz, co jest najgorsze w byciu psem? To, jak wszyscy wychodzicie z domu. Idziecie gdzieś sobie do waszych spraw, a ja zostaję sam! Jest mi wtedy tak smutno jak nie wiem co. I tak bardzo za wami tęsknię... A jak sobie zabiorę na legowisko czyjaś skarpetkę czy kapeć, żeby czuć wasz zapach, to potem na mnie krzyczycie!

Wtem usłyszałem czyjeś kroki, światło na korytarzu się zapaliło... Ktoś wszedł do mojego pokoju i cicho powiedział:

– Ach tak, tu jesteś, gagatku!

Rozbudziłem się zupełnie i zorientowałem, że to mama stoi obok mojego łóżka.

– Bartusiu, tyle razy prosiłam, żebyś nie wpuszczał psa do łóżka – powiedziała, gdy zobaczyła, że nie śpię. – Zmykaj stąd, Kofi.

Pies spuścił uszy po sobie i podniósł się z pościeli. Ale zanim zeskoczył z łóżka, spojrzał na mnie i przysiągłbym, że usłyszałem, jak do mnie szepnął:

– A nie mówiłem? Czar prysnął, muszę uciekać...

Od tamtej pory Kofi nie powiedział ludzkim głosem ani słowa. Sam nie wiem: czy to był sen, czy nie? Ale na wszelki wypadek dałem mu do zabawy tego gumowego węża.

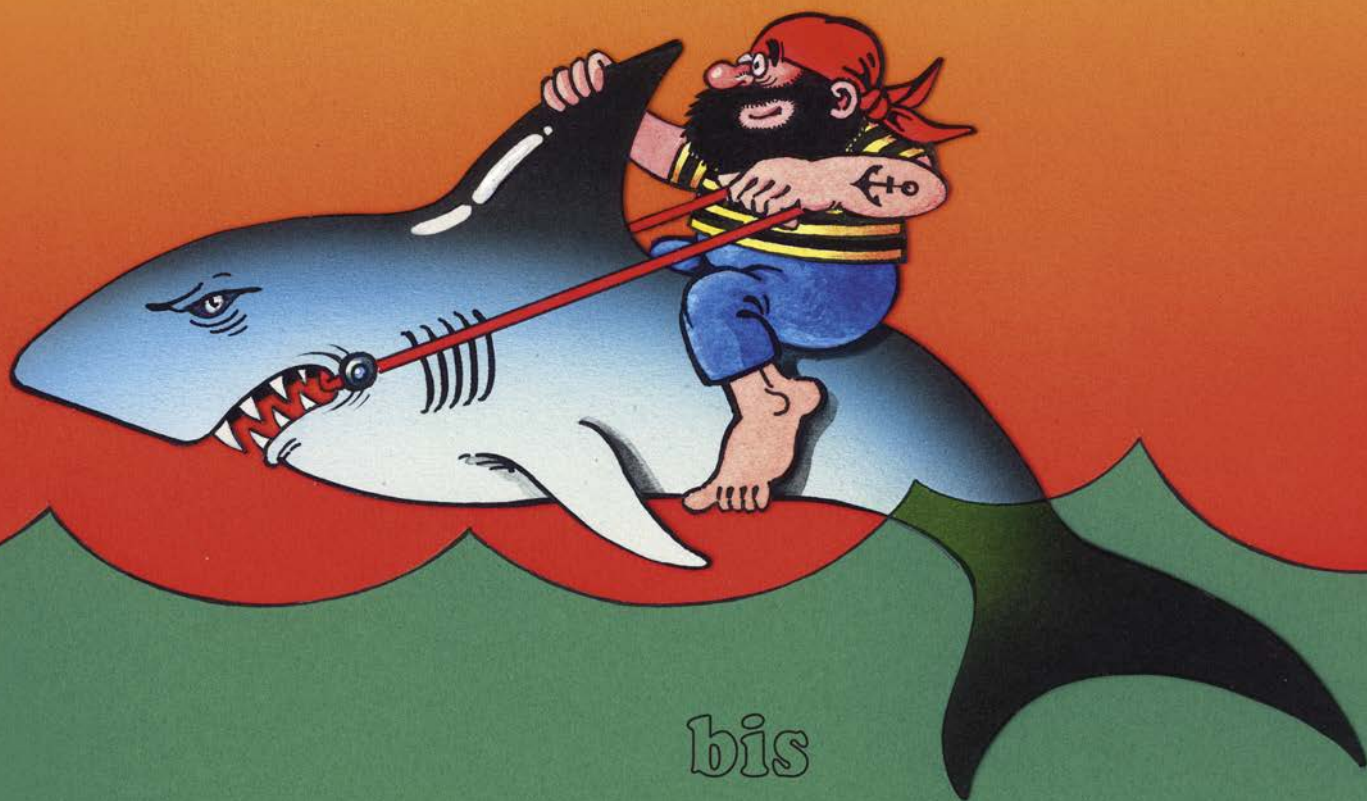


Fragment z książki Wojciecha Witkowskiego  
**BURZLIWE DZIEJE PIRATA RABARBARA**

Copyright © 1979 Wojciech Witkowski; Copyright © 2008 Wydawnictwo BIS

ilustracje EDWARD LUTCZYN

**Wojciech Witkowski**  
**BURZLIWE DZIEJE PIRATA**  
**RABARBARA**



bis



## **AWANTURA O KICHANIE**

Słońce przygrzewało, a wiatr był tak łagodny, że ocean marszczył się miękko jak łan kwitnącego lnu. Fregata wracała z Indii do kraju, wioząc w ładowniach herbatę, cynamon, goździki i pieprz. Na pokładzie pachniało jak przy wielkanocnym stole. Załoga wachała i kichała raz po raz:

- A psik!
- Na zdrowie!
- A psik!
- Na zdrowie!

Nadzwyczaj głośno kichał bosman Huk i wtedy marynarze wołali chórem „na zdrowie!”, ale jeszcze głośniej najdzielniejszy z żeglarzy – Rabarbar – aż trzęsły się maszty. Rabarbar siedział w bocianim gnieździe i wypatrywał ziemi, choć wszyscy wiedzieli, że przez dwa miesiące żadnego brzegu nie zobaczy, ale tak na morzu trzeba, bo zawsze można się natknąć na nieznany ląd.

A jednak żeglarze nie byli szczęśliwi. Co który spojrzał na nazwę fregaty, to aż pluł niegrzecznie do wody, czego ryby bardzo nie lubią, zwłaszcza złote i latające. Na burcie był napis „Kaczy Kuper”. Kto chciałby pływać na „Kaczym Kuprze”, choćby i najpiękniejszym? Jak trudno będzie znieść kpiny kamratów z innych statków! A do niedawna ich fregata nazywała się przecież całkiem przyzwoicie: „Pierś Łabędzia”. Ale kiedy dowództwo objął kapitan Ocet, zaraz kazał zmienić nazwę i jeszcze śmiał się cienko jak brzytwa, chociaż załoga płakała rzewnie. Z takich łez marynarzy robią się w morzu perły, natomiast kiedy płaczą po rozbitej butelce rumu, lęgną się rekiny.

I teraz właśnie wyszedł ze swej kajuty kapitan Ocet, malutki, chudziutki i skrzywiony, jakby bolały go wszystkie zęby.

– Bosmanie Huk – zapiszczał – zawiązać wszystkim nosy! Dostyc mam tego „a psik! na zdrowie!”. Sobie też, do stu tysięcy zgniłych śledzi! A przede wszystkim temu tam, jak mu tam, Rabarbarowi, co aż trzęsie „Kaczym Kuprem”.

– Tak jest, kapitanie! – huknął Huk.

– O, nie! Wara od mojego nosa! Będę sobie kichał, ile mi się podoba! – krzyknął z bocianiego gniazda Rabarbar i zaraz kichnął tak potężnie, że nie tylko zatrzęśły się maszty, ale cała fregata zakołysała się jak w czasie najokropniejszego sztormu.

– Łapać! Zakuć w kajdany! Przywiązać do masztu! Wychłostać! Buntownik! – piszczął kapitan Ocet i tupał ze złości cienkimi nóżkami.

– Cha, cha! – rozległo się z góry. – A kto to robi?

– Na Rabarbara, nuże kamraci – powiedział, najciszej jak umiał, bosman i zaraz zerknął na bocianie gniazdo, czy aby tamten nie do słyszał.

– Brać go! Brać tego buntownika! – zapiszczał i zatupał znowu Ocet.

Nikt się nie ruszył.

– Niech pan da spokój, kapitanie, nikt nie da mi rady – powiedział Rabarbar i kichnął sobie znowu: – A psik!

– Co takiego?! Jeszcze mnie nie znasz, Rabarbarze! Ja cię zestrze-  
lę jak kaczkę! – Kapitan zazgrzytał zębami i wyciągnął zza pazuchy  
wielki pistolet. Za wielki jak na jego siły. W żaden sposób nie mógł  
utrzymać lufy do góry.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się na to Rabarbar. – Mam w nosie ta-  
kiego kapitana, co chce do mnie strzelać. Żegnajcie, kamraci!  
A zresztą i tak już nie chciałem płynąć w następny rejs „Kaczym Ku-  
prem”. I przypilnujcie, żeby mi tam nic nie zginęło z kuferka! –  
krzyknął i skoczył do morza.

Zanurkował. Wyłynął dobre pół mili dalej.

– A z panem, kapitanie, to ja się jeszcze porachuję! – krzyknął raz  
jeszcze i popłynął sobie na skrót do domu.

– Skandal, buntownik, zastrzele! – zachrypiał Ocet i wreszcie wy-  
strzelił. Nawet trafił... w pierwszą falę przy burcie.

Strasznie to rozgniewało delfiny, które płynęły za fregatą. Pod-  
płynęły do burty i wszystkie razem chlapnęły ogonami. Na kapita-  
na spadła cała fontanna wody. Przemoczony do suchej nitki,





pomknął do swej kabiny. Po chwili ukazał się w drzwiach w samych gatkach.

– Bosman, wysuszyć mój mundur!

– Tak jest, panie kapitanie! – huknął Huk, a że akurat zapach pieprzu dotarł do jego nochała, kichnął głośniej, niż Ocet wystrzelił: – A psik!

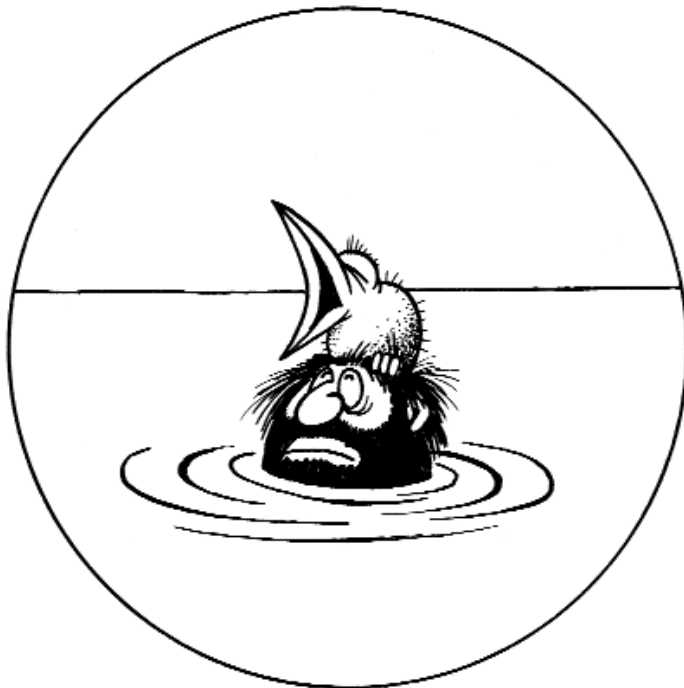
– Na zdrowie! – zawołała załoga.

– Do dwustu tysięcy zgniłych śledzi, zawiązać te nosy! – wrzasnął kapitan i zatrzaskał drzwi.

A tymczasem głowa Rabarbara zniknęła za horyzontem.

– Będzie prędzej niż my – powiedział Huk. Chciał huknąć po swemu, żeby nawet szczer na dnie ładowni usłyszał, ale tylko zagęgał przez nos zawiązany kawałkiem liny okrętowej.

– Teraz to będzie „Gęsi”, a nie „Kaczy Kuper” – powiedział jeden z marynarzy i westchnął: – Żebym to ja tak pływał jak Rabarbar...



## Z GNIAZDEM NA GŁOWIE

Rabarbar płynął i płynął. Tydzień, dwa tygodnie. Jak spotkał stado delfinów, to pogwizdywał sobie razem z nimi piosenki żeglarskie, a jak wieloryba, który zmierzał w tę samą stronę, to przysiadł na grzbiecie olbrzyma i odpoczywał. Ale tak w ogóle – nudno mu już było.

Aż tu jednego dnia patrzy – leci mewa i jakoś dziwnie niespokojnie rozgląda się wokoło.

– Ahoj, koleżanko! – zakrzyknął Rabarbar. – A co cię tak zaniepokoiło?

– Ojej, Rabarbarku, ojej! – zakwiliła mewa. – Mam straszny kłopot. Czuję, że zaraz muszę znieść jajko, a do najbliższego lądu okropny kawał morza. I co ja teraz zrobię?

– I to ma być kłopot? Zaraz ci pomogę – powiedział wesoło Rabarbar i odwrócił swą marynarską czapkę dnem do góry, tak że zrobiło się wygodne gniazdo.

– Nigdy ci tego nie zapomnę – odrzekła mewa. Zaraz złożyła do Rabarbarowej czapki jajko i usiadła na nim.

Rabarbar poweselał. Miał teraz z kim pogadać, więc nawet nie czuł zmęczenia, tylko płynął i płynął.

Tak minęło znowu parę tygodni. Aż któregoś dnia coś zastukało w jajku i po paru minutach wykuło się pisklę. Zaraz rozdziawiło dziób i wrzasnęło:

– Mamo, jeść! Mamo, jeść!

– Będzie się zdrowo chować, ma apetyt – powiedział Rabarbar.

– O tak, Rabarbarku – rozczuliła się mewa. – Nie wiem, jak ci mam dziękować...

– Drobiazg, nie ma o czym mówić – Rabarbar na to. – Ale, kto wie, może przyda się kiedyś twoja pomoc. Muszę się porachować z kapitanem Octem.

– Będę zawsze do usług – zapewniła mewa.

Po paru dniach Rabarbar pociągnął mocno nosem, przełknął ślinkę, bo poczuł jakby leciuteńkie, dalekie echo zapachu grochówki na wędzonce, uśmiechnął się i powiedział:

– No, mewo, będę cię musiał wysadzić razem z maluchem na najbliższej wyspie. Do domu już nie tak daleko, muszę się ogarnąć i w ogóle nie wypada żeglarzowi wracać z rejsu z gniazdem na głowie.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęła mewa.

Rabarbar wylądował na pięknej wyspie o szerokich plażach, nad którymi chwiały się w lekkiej bryzie kokosowe palmy. Przełożył pisklaka do gniazda, które zrobiła mewa, pożegnał się ze swą przyjaciółką i poszedł brzegiem wyspy, bo po tak długim pływaniu nabral ochoty na spacer. Ale niedaleko uszedł. Broda mu tak wyrosła, że ją

przydeptywał, a ponadto była strasznie ciężka, bo obrosła muszelkami. Rabarbar zdrapał więc najpierw wszystkie muszle i wyrzucił do morza – przy okazji też kilka małych rybek, które schroniły się w gęstwinie brody przed rekinami. Potem usiadł na kamieniu i marynarskim nożem przyciął sobie brodę ślicznie w schodki. Równie nie mógł, bo włosy z przyzwyczajenia jeszcze falowały.

Kiedy tak zajmował się upiększaniem swojej postaci, przyszły kraby kokosowe i proszą:

– Rabarbarze, pomóż nam. Tyle kokosów leży wokół, a nie możemy się do nich dostać. Za twarde na nasze kleszcze.

Żeglarz wstał i zaczął grzmocić pięściami, a orzechy kokosowe pękały niczym bańki mydlane. Kraby dalejze dziękować, ale on tylko ziewnął, bo właśnie przypomniało mu się, że bardzo długo nie spał. Ułożył się pod palmą i zachrapał.

I to jak zachrapał! Aż z palmy spadały orzechy! Prosto na głowę, ale nic go to nie obchodziło.

Niestety, Rabarbarowe chrapanie usłyszano w głębi wyspy...



## **OBIAD U LUDOŻERCÓW**

Kiedy Rabarbar obudził się wreszcie, zobaczył, że na plaży płonie ognisko, wokół którego siedzą czarne postacie. Tylko jedna z nich, w wysokiej białej czapce, oparta o ogromną łyżkę, stoi i patrzy, jak wrze woda w kotle zawieszonym nad ogniem.

– Ho, ho, przyjaciele – zawołał wesoło żeglarz – zdaje się, że macie na mnie apetyt?!

Ludożercy podnieśli ogromny wrzask, zerwali się z ziemi i zaczęli taniec wokół ogniska. Wymachiwali przy tym dzidami i łyżkami i śpiewali:

– Mniam, mniam, obiad się obudził nam! Mniam, mniam, obiad się obudził nam!

Kucharz (ten z wielką łyżką i w białej czapce) podszedł do Rabarbara i rzekł:

– Długo spałeś, Mięso, wszyscy strasznie wygłodnieli, a nie jest w naszym zwyczaju jeść śpiących. Potem się budzą i ziewają w brzuchach, a to bardzo nieprzyjemnie i niezdrowo.

– Bardzo nieprzyjemnie – przytaknął Rabarbar. – Podobają mi się wasze zwyczaje. Przepraszam, że tak długo spałem.

– Nie szkodzi – odrzekł uprzejmie kucharz. – Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Też racja – przytaknął znowu Rabarbar i dodał: – Smutno mi, że tak miłym ludożercom będę musiał sprawić zawód. Marne ze mnie mięso. Chude i przesolone, bo przez dwa miesiące moczyło się w morzu.



– Faktycznie, nieszczęśliwie wyglądasz – zgodził się kucharz. – Ale co na to można poradzić?

– A można. Czekaliście tak długo, możecie jeszcze poczekać kilka dni. Odkarmicie mnie, odsolicie. I wtedy będzie mi miło, że będę smacznym obiadkiem, a nie jakąś chudą słońą żyłą.

– Zapytam wodza – powiedział kucharz.

– Mięso ma rację – orzekł wódz po długiej naradzie z najstarszymi wojownikami. – Wsadzić do klatki, karmić dobrze i płukać w słodkiej wodzie!

Rabarbar tylko uśmiechnął się pod wąsem, bo kiedy rozprawiał o sobie jako o mięsie, poczuł się głodny jak wilk, morski oczywiście.

Ludożercy zbili wielką klatkę z bambusów, umieścili w niej wannę ze słodką wodą. Potem wzięli Rabarbara na bary i zanieśli do środka.

– Jeść! – krzyknął żeglarz, kiedy tylko znalazł się w klatce.

– Wódz miał rację, to strasznie głodne Mięso – mówili ludożercy, z rozrzewnieniem patrząc, jak Rabarbar je.

A Rabarbar miał apetyt co się zowie. Do wieczora zjadł dwie kiście bananów, trzy kociołki ryżu, czterdzieści pomarańcz i popił to mlekiem z trzydziestu kokosów.

Wziął kąpiel i usnął jak niemowlę.

Nazajutrz zjadł jeszcze więcej, ku ogromnej radości głodujących ludożerców. Brzuch mu spęczniał jak balon. Wieczorem kucharz obmacał go i znowu nastawił wodę w kotle nad ogniskiem. Rabarbar wiedział, że do rana woda się zagotuje, a wtedy... ale był tak objedzony, tak rozleniwiony, że nie chciało mu się palcem ruszyć, by połamać klatkę i uciec.

Dopiero dobrze po północy, kiedy kucharz zdrzemnął się przy ognisku, coś sobie przypomniał i poweselał.

– Kraby, kraby! – zawołał cichutko.

Zaszurało, zaszemrało i w klatce aż się zaroilo.

– Muszę szybko dostać się do morza – powiedział Rabarbar.

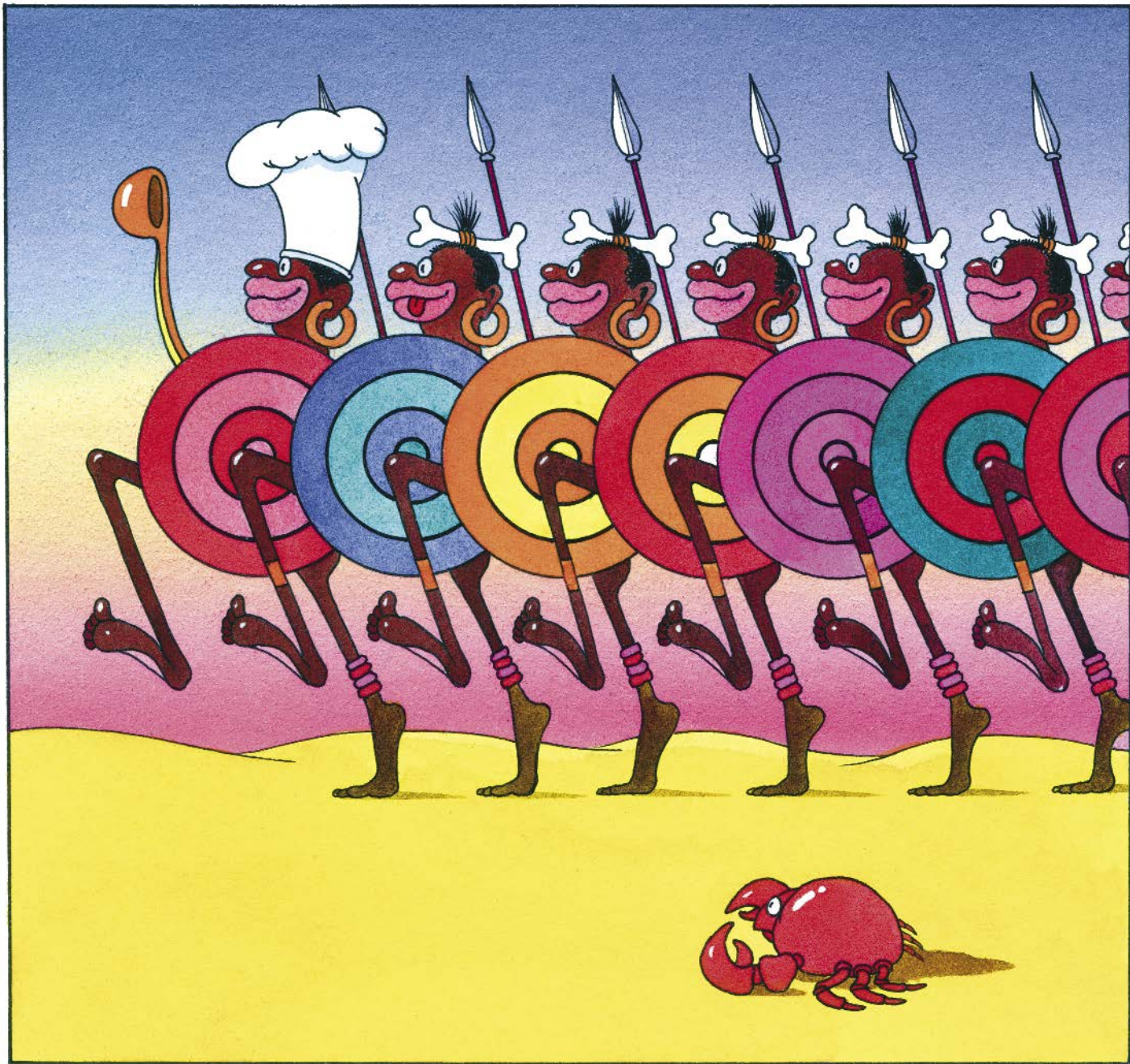
Kraby kokosowe potężnymi kleszczami w jednej chwili pocięły w drobny mak klatkę, ale nasz żeglarz dosłownie nie mógł się ruszyć z przejedzenia.

– Musicie mnie zanieść.

Kraby drapały się z przejęciem kleszczami po głowach, ale nic nie mogły wymyślić.

– Ale z was głuptasy! Wylejcie wodę z wanny. W niej mnie zanieście.

Po chwili kucharz umykał w las z okrzykiem przerażenia, bo kiedy się ocknął z drzemki, zobaczył sunącą przez plażę wannę, a w niej



wystający brzuch Mięsa. Krabów pod wanną, przy słabym księżycowym świetle, nie dostrzegł.

Wódz, gdy mu doniesiono, że klatka sama się pocięła, a Mięso odpłynęło w wannie, nie ukarał kucharza, tylko oświadczył poważnie:

– Podziękujcie mi, o wojownicy, że nie pozwoliłem zjeść od razu tego Mięsa. To był wielki czarownik. A zaczarowane mięso w brzuchu jest tysiąc razy gorsze od mięsa ziewającego.

– Chwała ci, wodzu! – krzyknęli wszyscy.

Rabarbar tymczasem płynął sobie szerokim morzem, pod żaglem, który zrobił z koszuli.

Po paru dniach schudł tak, że mógł zanurkować po perłę dla żony. A czas już na to był najwyższy, bo nad morzem unosił się coraz mocniejszy zapach grochówki na wędzonce.

Fragment z książki Melanii Kapelusz  
**KRASNOLUDKI**

Copyright © Melania Kapelusz; Copyright © Wydawnictwo BIS 2007, 2014



## Kryjówka na amen

– Ależ się świetnie schowałem – cieszył się Tolek, siedząc w doniczce pod liściem paproci. – Nigdy mnie nie znajdą – powtarzał. – Nigdy, nigdy, nigdy.



Stefan najpierw odkrył Placka, który nie zdążył wleźć do pudełka od zapalek. Potem Orzecha, który wślizgnął się do łóżka Ady, lecz spod kołdry wystawał mu but. Benek kucnął pod fotelem, ale po chwili zupełnie niepotrzebnie postanowił zmienić kryjówkę i dał się złapać, gdy biegł w kierunku firanki. Stefan po kolei znajdował wszystkich. Mały był najmniejszy i zawsze było mu się najłatwiej ukryć, a właściwie najtrudniej było go znaleźć. Więc kiedy Stefan zobaczył



go wciśniętego między książki Ady, mógł pomyśleć, że to już wszyscy i zakończyć zabawę w chowanego. Tolek wciąż jednak siedział w doniczce.

– Nigdy mnie nie znajdą – pomrukiwał, zadowolony z siebie do czasu, gdy w pokoju zrobiło się ciemno. Na tyle ciemno, że Ada położyła się do łóżka, a jej mama zapaliła małą lampkę i otworzyła książkę z najpiękniejszymi historiami na dobranoc. Krasnoludki, zwykle schowane za kapciami Ady, przysłuchiwały się bajce.

– Nigdy mnie nie znajdą – powtórzył Tolek, ale tym razem zabrzmiało to trochę mniej wesoło.

Mama Ady czytała o królownie zamkniętej w wieży, którą pilnował smok.

– Dlaczego ten głupi Stefan mnie nie znalazł? – wybąkał Tolek całkiem żałośnie.

Królowna też była sama. Kilku śmiazków próbowało ją uratować, ale wszystkich pożarł smok. W końcu rycerze przestali przyjeżdżać i wyglądało, że zapomnieli o królownie.

– Nie znajdą mnie – wymamrotał Tolek.







Tymczasem mama Ady skończyła czytać bajkę, zgasiła światło i wyszła z pokoju. Tolek nie wiedział, co stało się z królowną, bo przestał słuchać.

– Nigdy mnie nie znajdą! – wykrzyknął przerażony. – Co ja zrobię? Będę siedział w tej doniczce przykryty liściem paproci, jak jakaś królowna? To straszne! Co za głupia kryjówka! Najgorsza na świecie. Mogłem się schować za nogą od krzesła albo pod serwetką na stole. Stefan od razu by mnie zauważył. A teraz jest tak ciemno, że nie trafię do łóżka – chlipnął. – Będę musiał spędzić tu całą noc. Sam jak palec.

Przerażony podniósł ostrożnie liść paproci i wysunął głowę. Nagle dostrzegł, że w pobliżu coś się poruszyło.

- Smok! – krzyknął na całe gardło. – Ratunku!
- Jaki smok? – usłyszał głos Heńka.
- O czym ty mówisz? – zdziwił się Stefan.
- No, jesteś w końcu! Nareszcie! – pokrzykiwały krasnoludki jeden przez drugiego.

- Nawet nie słuchaliśmy dziś bajki – dodał Mały. – Nie chcieliśmy cię zostawić nieznanego. Mógłbyś płakać albo się bać.
- Nie boję się niczego – obruszył się Tolek. – I nie beczę.
- Jasne – powiedział Heniek, podając Tolkowi chustkę – tylko ciekawe, dlaczego masz spuchnięte oczy i wielki, czerwony nos.
- Ja? – zacukał się Tolek. – Może od tej paproci.
- To co, jutro też się bawimy w chowanego? – zapytał Stefan.
- Jutro? – wybąkał Tolek. – Jutro chyba będę zajęty.

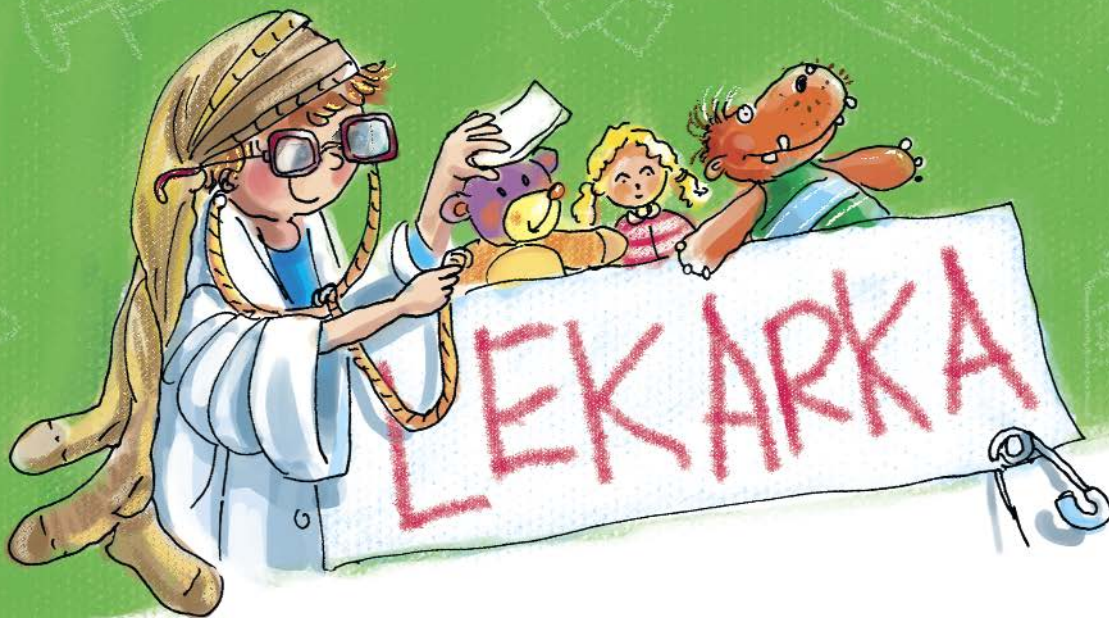


# Opowiadanie z książki Renaty Piątkowskiej A MOŻE BĘDZIE WŁAŚNIE TAK

Copyright © Renata Piątkowska 2008; Copyright © Wydawnictwo BIS 2008

ilustracje ARTUR NOWICKI





BEDE LEKARKĄ.

Nie baletnicą, wróżką czy księżniczką, tylko właśnie lekarką. Jeszcze do wczoraj myślałam, że najfajniej jest tańczyć w cyrku na linie lub wkładać głowę do paszczy lwa, ale teraz wszystko się zmieniło.

A zaczęło się od tego, że w nocy rozbolało mnie lewe ucho. Śniło mi się, że w głowie mam rój wściekłych os. Te brzęczące potwory raz po raz kłuły mnie ostrymi żądłami. A ucho, choć małe jak guzik, bolało tak, jakby było większe od szafy. Rano obudziłam się z płaczem, wołając na pomoc mamę. Już po chwili poczułam na czole jej chłodną dłoń, a potem mama zrobiła mi herbatę z sokiem malinowym i osy w głowie nieco się uspokoiły. Za to mama wręcz przeciwnie.

– Kochanie, musimy wybrać się do pani doktor i najlepiej, jak zrobimy to od razu – powiedziała, naciągając mi na głowę czapkę, kaptur kurtki i owijając to wszystko szalikiem. – Gdzie się tak zaziębiłaś?! – denerwowała się, zapinając mi szczelnie kurtkę i podając rękawiczki. – Wiem, pogoda jest ostatnio paskudna, ale przecież nie chodziłaś chyba z gołą głową?

– Nie, chyba nie – bąknęłam niewyraźnie, a cudowne słówko „chyba” pomieściło w sobie tę chwilę, kiedy na podwórku zdjęłam czapkę, by pokazać dziewczynom moje nowe spinki do włosów.

Mama dała się zwieść, ale osy nie. Wyraźnie się ożywiły i brzęcząc złowieszczo gdzieś w środku ucha, szczypały mnie, gryzły i żądliły jednocześnie.

Pani doktor czekała na nas w swoim gabinecie. W białym fartuchu, z okularami na nosie i z końskim ogonem na głowie, wyglądała tak, jakby wiedziała wszystko o wściekłych osach i nowych spinkach. Na wszelki wypadek schowałam się za mamę i przytuliłam obolałe ucho do jej płaszcza. Niepokoiło mnie trochę dziwne, okrągłe lustro, które lekarka miała na środku głowy. Ale jeszcze dziwniejsze było ogromne ucho, które stało na parapecie. Musiało należeć do jakiegoś olbrzyma, a na dodatek pełno w nim było różnych zawijasów, kanalików i zakrętów. Niespecjalnie mi się to podobało. Wiem, że to jeszcze nie jest powód do płaczu, ale co mi tam. W końcu byłam chora, w głowie miałam osy, a dziwne ucho na parapecie na pewno nas podsłuchiwało. W jednej chwili

w oczach stanęły mi łzy i z nosa też coś kapnęło. Na szczęście ciągle tuliłam się do płaszcza mamy, więc obeszłam się bez chusteczki. Mama musiała usłyszeć moje pochlipywanie, bo przytuliła mnie i szepnęła:

– Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Zerknęłam podejrzliwie na lekarkę, żeby sprawdzić, czy nie zamierza zrobić mi zastrzyku, ale na razie siedziała spokojnie, więc obejrzałam sobie jej biurko. No i wtedy zobaczyłam niewielką, szklaną miskę, a w niej moje ulubione kolorowe żelki. Były tam żelkowe misie, wężyki, żabki i krokodylki.

– Proszę, poczęstuj się, Oleńko – powiedziała pani doktor, przesuwając miskę w moją stronę. – Nie wiem jak ty, ale ja najbardziej lubię żabki – dodała.

– Żabki są niezłe, ale ja wolę wężyki – zapewniłam i pomyślałam, że to musi być bardzo dobra lekarka, skoro zna się na żelkach.

Byłam po trzech wężykach i przy drugim krokodylku, gdy badanie dobiegło końca. Najdłużej pani doktor oglądała moje ucho i co dziwne, nie zobaczyła tam żadnej osy. Pewnie się pochowały.

– Ola ma stan zapalny. Dobrze, że nie zwlekała pani z wizytą. Przepiszę jej tabletki i krople do ucha. – Mówiąc to, lekarka zanotowała coś na małej karteczce.

– To twoja recepta – powiedziała, podając mi papierek, na którym literki były tak nabazgrane, jakby pisała je, zbiegając ze strome-



go zbocza, a nie siedząc wygodnie przy biurku. Gdyby to były moje gryzmoły, mama narzekałaby, że piszę jak kura pazurem. Ale karteczkę od pani doktor schowała ostrożnie do torebki i jeszcze pięknie podziękowała. Gdy wizyta dobiegła końca, było jasne, że będę lekarką.

I nie chodziło tylko o te recepty, ale przede wszystkim o miskę z żelkami. Przecież jak nikt nie widzi, to pani doktor może ich zjeść, ile zechce. Najchętniej chyba wcina żabki i krokodylki, bo tych zostało najmniej. A najfajniejsze jest to, że nawet jak zje wszystkie i nawet jak rozboli ją od tego brzuch, to może przepisać sobie jakieś lekarstwo i wyleczyć się sama. Też bym tak chciała. Dlatego gdy po paru dniach wściekle osy zostawiły w spokoju moje ucho i nie musiałam już łykać tabletek, powiedziałam:

– Wiesz, babciu, zostanę lekarką. To naprawdę nic trudnego – zapewniłam. – Chodzi się w białym fartuchu z okularami na nosie, zagląda się każdemu do gardła i do ucha, a potem kreśli się bohomazy na małych karteczkach. To bardzo proste.

– A myślałam, że chcesz tresować lwy – zdziwiła się babcia.

– Lwy będą musiały poczekać, bo teraz idę leczyć moje lalki. Coś ostatnio marnie wyglądają. Miśki też są jakieś blade, a po nocach kichają i wycierają łapami mokre nosy – naskarżyłam na niedźwiadki.

Nie minęła godzina, a mój pokój wyglądał jak prawdziwy szpital. Pluszaki leżały pod ciepłymi kocykami z wilgotnymi serwetkami



na czołach. Ja krążyłam między ich łóżeczkami i patyczkiem po lodach mierzyłam miśkom temperaturę. Nie potrzebowałam prawdziwego termometra, który mama zawsze przede mną gdzieś chowa, bo byłam przecież najlepszą lekarką na świecie. Nawet wyglądałam tak, jak powinna wyglądać prawdziwa pani doktor. Włożyłam biały szlafrok, który był o wiele ładniejszy od zwykłego fartucha, i wielkie okulary dziadka, przez które widziałam tylko jakieś zamazane plamy. Największy kłopot miałam z końskim ogonem. Z moich krótko obciętych włosów nie dałoby się zrobić nawet nędznego kucyka. Musiałam więc zrobić sobie rajtuzowe włosy. Do tego celu najlepiej nadawały się rajtuzy mamy. Założyłam sobie na głowę kilka par naraz i wtedy z wiszących wokół głowy nogawek mogłam nawet zaplatać warkocze. Nie wyszłabym tak na podwórko, ale w moim szpitalu czułam się w tej fryzurze świetnie. Zaszczepiłam agrafką wszystkie moje pluszaki, przykleiłam im plasterki i zabrałam się za lalki. Wyglądały, jakby bolały je uszy, i trochę pokasływały. Pewnie pomogłyby im moje kropelki, ale plastikowe uszy lalek nie miały żadnych otworków i kanalików, więc krople były tu na nic. Na szczęście przypomniały mi się słowa babci, która często powtarzała:

– Nie ma nic lepszego na przeziębienie niż syrop z cebuli, sok malinowy albo mleko z miodem. Dobrze też wymoczyć nogi w gorącej wodzie z odrobiną soli. I nikt mi nie wmówi, że tabletki leczą lepiej niż ziółka i czosnek.



Skoro tak, to postanowiłam leczyć lalki po babcinemu. Usadziłam je na krzeselkach i już po chwili trzymały nogi w filiżankach z ciepłą wodą. Posoliłam im trochę stopy i lalki od razu poczuły się lepiej. Musiałam też zatroszczyć się o mojego hipopotama Gucia i o stonogę Lucię. Od razu wiedziałam, że mają chore brzuchy i zatkane nosy, ale nie miałam aż tylu filiżanek, żeby wymoczyć wszystkie nóżki Luci. Byłam jednak najlepszą lekarką na świecie, więc musiałam coś wymyślić. I wymyśliłam. Pokropiłam Gucia i Lucię cytrynowym olejkiem do ciasta. W pokoju pięknie zapachniało, a zwierzaki były zachwycone. Wiem, że im to pomoże, bo widziałam w telewizji, jak jakieś panie wachały różne ładne zapachy i potem mówiły, że czują się o wiele lepiej.

Kiedy wyleczyłam wszystkie moje zabawki i ozdobiłam rajtuzowe włosy nowymi spinkami, do zbadania został już tylko mój ulubiony kaktus. Właśnie wypisywałam mu receptę, gdy usłyszałam głos dziadka:

– Co za okropny dzień! Czy ten paskudny deszcz przestanie wreszcie padać? – Dziadek wyraźnie był w złym humorze. – Kto zabrał moje okulary? Jeszcze przed chwilą tu leżały! – zagrzemiał.

Okulary dziadka były na moim nosie. Zdjęłam je więc szybko i schowałam do kieszonki szlafroka, a potem grzecznie zapytałam:

– Wstałeś dziś, dziadku, lewą nogą?

– Nawet gdybym miał dwie prawe nogi, toby nic nie pomogło, bo od rana okropnie boli mnie głowa – jęknął i zasiadł w swoim ulubionym fotelu.

Oho, mam następnego pacjenta – pomyślałam.

– Dziadku nic się nie martw, jestem teraz najlepszą lekarką na świecie i zaraz cię wyleczę – powiedziałam i położyłam mu na głowie zimny kompres.

Dziadek popatrzył dziwnie na moje rajtuzowe włosy, ale pomysł z kompresem mu się spodobał. Może dlatego, że nie widział, jak śmiesznie wygląda z moją mokrą, starą skarpetką na czole. No, ale nie mogłam znaleźć nic lepszego, a poza tym różowa skarpetka świetnie pasowała do jego siwych włosów. Żeby jeszcze szybciej wyzdrowiał, pokropiłam mu plecy cytrynowym olejkiem do ciasta.

– Dziadku, boli cię jeszcze ta głowa? – spytałam po chwili.

– Oj, boli, Oleńko, boli – poskarżył się mój pacjent.



– W takim razie zrobię dla ciebie lekarstwo – zdecydowałam i poszłam do kuchni.

Tam wlałam do szklanki trzy łyżki zupy ogórkowej i trzy łyżki soku malinowego. Dorzuciłam trochę waniliowego serka i pół rzodkiewki. Wszystko to mocno zamieszałam i lekko posoliłam. Mikstura na bolącą głowę była gotowa. Ostrożnie zaniosiłam ją do pokoju. Po drodze zajrzałam do moich miśków. Leżały uśmiechnięte w łóžeczkach i wyglądały dużo lepiej. Dziadek wręcz przeciwnie, ale gdy chciałam podać mu łyk cudownego lekarstwa, zaraz zerwał się z fotela.

– Wiesz, wnusiu, właściwie to ja czuję się już dużo lepiej. Bardzo pomógł mi ten kompres, a to pyszne lekarstwo schowam sobie na potem, gdyby mi się pogorszyło – powiedział, by po chwili ze szklanką w ręce i skarpetką na głowie zniknąć w swoim pokoju.

Wspaniale jest być taką dobrą lekarką – pomyślałam. – Potrzebuję jeszcze tylko miski z żelkami i jutro mogę zacząć leczyć wszystkich od nowa.

Opowiadanie z książki Renaty Piątkowskiej  
OPOWIADANIA Z PIASKOWNICY

Copyright © Renata Piątkowska 2006 ; Copyright © Wydawnictwo BIS 2006

ilustracje IWONA CAŁA



Renata Piątkowska

OPOWIADANIA  
Z PIASKOWNICY





Jak ja lubię jeździć tramwajem. I wcale się nie upieram, żeby siedzieć koło okna. Często dużo ciekawsze rzeczy można zobaczyć w środku niż za szybą. Na przykład dzisiaj siedziałem sobie wygodnie u mamy na kolanach, gdy nagle z tłumu pasażerów wyłoniła się ręka i złapała za metalowy uchwyt tuż przed moim nosem. Inne ręce, nawet te z zegarkami i pierścionkami, nie mogły się z nią równać. Była wyjątkowa, bo ktoś wymalował sobie na niej pięknego smoka. Smok miał trzy głowy, wielkie skrzydła i mienił się kolorami. Ale najpiękniejszy miał ogon, który lekko się poruszał, gdy mężczyzna trzymający się poręczy napinał mięśnie. Zauważyłem, że mama kątem oka też ogląda smoka.



– Jest piękny, prawda? – spytałem. – Mamo, czy ja też... – Nie zdążyłem skończyć, gdy mama powiedziała:

– Nie, nie możesz.

– A czy ty albo tata.....

– Nie, nie chcemy mieć takich rysunków. – Mama znowu odpowiedziała, zanim zdążyłem zadać pytanie.

– Mamo, jak się ma taki obrazek, pewnie nie można się myć? Przecież woda może go zniszczyć – spytałem i pomyślałem, że to jest dodatkowy powód, dla którego warto go mieć.

– Woda nic mu nie robi, to jest tatuaż. Nie da się go usunąć, taki rysunek trzeba nosić już zawsze.

– To wspaniale! A czy ja mógłbym mieć na ręce takiego całkiem małego smoczka? Wystarczyłaby mu jedna głowa i dwa skrzydełka. Nazwałbym go Bobik i byłby moim najlepszym przyjacielem – zapewniłem.

– Narysuj sobie Bobika na kartce – poradziła mama, a ja pomyślałem, że dorośli pewnych rzeczy nigdy nie rozumieją.

Wtedy ręka ze smokiem oderwała się od uchwytu i przez chwilę drapała głowę swojego właściciela. A ta głowa też nie była taka całkiem zwyczajna. Głównie z powodu włosów, bo one nie rosły normalnie jak u innych ludzi, tylko były zwinięte w różnej długości,



brązowe rurki. Przypominało to trochę wielkie kosmate gąsienice albo owłosione parówki, które podrygiwały wokół głowy. Przejechałem ręką po mojej króciutkiej czuprynie i upewniłem się, że o takich rurkach na głowie mogę raczej zapomnieć. Mama, która bezbłędnie odgadywała, który fragment młodzieńca teraz podziwiam, powiedziała:

– To są dredy. Tak nazywa się ta fryzura.

– Ładnie się nazywa – przyznałem i postanowiłem zapamiętać tę nazwę. Może się przydać, kiedy włosy mi podrosną.

Podobał mi się rysunek na ręce i rurki na głowie, ale chyba nie chciałem mieć takiego kółka w nosie jak ten pan. Po co mu to? – głowiłem się. – Co na takim kółku można zawiesić? Może jakiś ma-lutki kluczyk od skrzynki na listy? – zgadywałem. Ale widząc, że uszy ma ozdobione niezliczoną ilością identycznych kóleczek, doszedłem do wniosku, że to jedno mu zostało. Nie mieściło się już w uchu, a żal było je wyrzucić, więc ozdobił nim nos. Mama na widok tego kółka wzniosła oczy do nieba.

Za to dziewczyna, z którą ten pan rozmawiał, mrugała szybko niebieskimi rzęsami i chichotała radośnie. Ona dla odmiany w ogóle nie miała włosów, a na nogach pomimo upału nosiła wysokie wojskowe buty. Czarne i sznurowane. Za to na brzuchu coś jej ślicznie



błyszczało. Różowa, króciutka bluzeczka nie zakrywała jej pępka, a w nim tkwił mały klejnocik. Nie wiadomo, jak się tam trzymał, bo nie wypadł nawet, jak się schyliła.

– Jest tam dobrze umocowany. Ta pani ma po prostu przebity pępek – wyjaśniła mama, podążając za moim wzrokiem.

Z przerażeniem chwyciłem się za brzuch.

– A po co tej pani takie świecidełko w tym miejscu? – Nie mogłem pojąć.

Wtedy młodzieniec szepnął dziewczynie coś do ozdobionego piórkami ucha i wybuchnęli śmiechem. Przez moment w ich otwartych ustach również coś błysnęło. Okazało się, że oboje mają na językach małe srebrne kuleczki. Mama zauważyła je również.

– Języki też mają przebite – szepnęła, a ja odruchowo mocno przycisnąłem swój język do podniebienia.

Gdybym miał na języku taką kulkę, to liżąc lody robiłbym ładne rowki – pomyślałem. Nie zdążyłem się nad tym głębiej zastanowić, gdy młoda kobieta w różowej bluzeczce, która pewnie skurczyła się jej w praniu, przytrzymała się metalowej rurki. Widok jej paznokci zaparł mi dech w piersiach. Były chyba dłuższe od palców, jasnoniebieskie, a na każdym dostrzegłem po trzy czarne gwiazdki. Mając takie paznokcie, nie da się chyba przykręcać śrubek ani lepić

z plasteliny. Nie wyobrażam też sobie, jak ta pani może nosić rękawiczki. Muszę przyznać, że ta para nawet jak na dorosłych wyglądała dziwnie.

– Cieszę się, mamusiu, że nie jesteś łysa, masz pusty pępek i możesz przykręcać śrubki – szepnąłem mamie do ucha bez piórek.

Mama uśmiechnęła się do mnie i to był ten rzadki przypadek, kiedy oboje byliśmy tego samego zdania.

